

Zbliżał się wieczór. Młody mężczyzna biegł ulicą, co chwila oglądając się za siebie. Minął mały kościół, stojący po lewej stronie, ten sam, w którym kilka miesięcy wcześniej znalazł pomoc życzliwego człowieka, pastora Juliusa. Teraz jednak to się nie liczyło – jedyna myśl, jaka kołatała mu się po głowie, to: „Uciekać! Zabierać Evelyn i wynosić się stąd jak najprędzej!”. Zebrał garść kamieni z asfaltu i, nie zatrzymując się, rzucił w okno świątyni. Narobiły sporo hałasu odbijając się od szkła i blaszanego parapetu.

Minął zrujnowany budynek, gdzie kilku pijaczków rozprawiało nad czymś zawzięcie i pędem skierował się w lewo. Wpadł przez drzwi frontowe do domu, który na tle większości budynków New Reno był w nawet dobrym stanie i, potykając się o spróchniały próg w niewielkim przedpokoju, runął jak długi. Błyskawicznie się pozbierał, wpadł do dość dużego pokoju i zaczął pospiesznie odsuwać ciężki, mosiężny stół, stojący zaraz po prawej stronie od wejścia, tuż pod oknem. W tym czasie z pomieszczenia nieco dalej od stołu wyszła dziewczyna – była piękna, czarnowłosa z mądrymi oczyma. Spojrzała się na niego ze strachem.

- Jonathan, co się dzieje? – zapytała drżącym głosem.

Chłopak spojrzał na nią i wydyszał:

- Evelyn, musimy uciekać. Mark jest w mieście...

Evelyn zbladła.

- Ale... jak to...

- Nie ma czasu! Zbieraj się!

Wbiegła z powrotem do pomieszczenia, z którego wyszła przed chwilą. Jonathan natomiast uporał się ze stołem, otworzył klapę w podłodze i zaczął wyciągać z ukrytej dziury jakieś przedmioty – czarną, zniszczoną walizkę, szarą sakiewkę i wypłowiałą szmatę. Ręce jednak trzęsły mu się niemiłosiernie i łach poleciał na ziemię. Z zawiniątka wyleciał pistolet. Jonathan chwycił go szybko i schował do kieszeni.

Evelyn wbiegła z powrotem do salonu, trzymając w rękach średniej wielkości, brązowy worek.

- Gotowa? – spytał Jonathan, patrząc na nią wystraszonymi oczyma.

- Tak – odpowiedziała. – Skąd wiesz, że on tu jest?

- Widziałem go – odrzekł Jonathan. – Siedział w knajpie tego Salvatore. Wiedziałem, że ten typ zacznie sprowadzać tutaj najgorsze męty. No i nie pomyliłem się...

W tym momencie drzwi frontowe rozwarły się z hukiem. Evelyn schowała się za Jonathanem, on złapał za broń i wycelował w stronę drzwi. Ręce trzęsły mu się, jakby dostał ataku padaczki. Do pokoju wpadł wysoki, ubrany na czarno mężczyzna o poważnym obliczu. Spojrzał na nich i powiedział:

- Spokojnie, to tylko ja.

Jonathan opuścił broń.

- Przepraszam, pastorze – odrzekł i rozejrzał się po pokoju. – Uciekamy...

- Zauważyłem – powiedział pastor. – Macie szczęście, za chwilę mój brat wyrusza na południe, zabierzcie się z nim.

- Dziękujemy, pastorze – odpowiedziała Evelyn, a Jonathan już założył sobie walizkę na plecy – miała zamocowane postronki, dzięki czemu można ją było nosić jak podróży plecak. Szarą sakiewkę włożył za pazuchę.

– Możemy wchodzić – oznajmił.

Jonathan wszedł do pomieszczenia, z którego wcześniej wyłoniła się Evelyn. Była to kuchnia, mała i zagracona. Po drugiej stronie znajdowały się białe, zniszczone drzwi. Wszyscy troje przeszli przez nią, a następnie wyszli przez tylne wyjście.

- To ten Mark, tak? – spytał pastor, kiedy uszli kawałek

Jonathan kiwnął głową.

- Chodźcie, to niedaleko – odrzekł pastor, złożył ręce jak do modlitwy i w skupieniu zmarszczył brwi.

Szli szybkim tempem w kierunku południowych obrzeży miasta, mijając po drodze zrujnowane domostwa, spozierające na ulice przez okna pozbawione szyb, zniszczone szyldy dawnych sklepów, bezwiednie kołysane lekkim czerwcowym wiatrem; mijali ludzi, którzy patrzyli na nich poprzez mgłę alkoholu albo innych używek, garstkę mieszkańców świata, w którym przyszło im żyć, teraz coraz bardziej zdegenerowaną, coraz częściej pozbawioną uczuć, coraz rzadziej pamiętającą podstawowe prawa moralne.

Ale nie to było teraz najważniejsze. Najbardziej istotne było to, co teraz z nimi będzie – dlaczego znowu muszą uciekać po nieco ponad trzech miesiącach w miarę spokojnego życia. Jonathan wiele razy zastanawiał się, za co został tak ukarany, czemu musiał przechodzić przez takie piekło. I najważniejsze – czemu winna była Evelyn, że podzielała w równym stopniu jego katusze. Ta niczemu winna, wspaniała kobieta, którą kochał nad własne życie.

„Wiedziałem, że w końcu do tego dojdzie, po prostu to wiedziałem” – pomyślał z goryczą i wyrzucał sobie w duchu, że jego ukochana musi jeszcze raz przez to przechodzić. Zrównał się z nią w marszu i spojrzał prosto w jej śliczne oczy, odwzajemniła jego spojrzenie, uśmiechnęła się lekko i powiedziała coś cichutko. Jonathan odczytał z ruchu jej warg dwa magiczne słowa: „Kocham Cię!”.

Evelyn była dla niego wszystkim, całym światem. Wiedział, że gdyby ją utracił – zginąłby. Ale wiedział też, że przebywanie w jego otoczeniu jest dla niej bardzo niebezpieczne. Wiele razy przez ostatnie tygodnie ze łzami w oczach namawiał ją, by ułożyła sobie życie bez niego, ale ona nie chciała o tym słyszeć. „To ciebie wybrałam i z tobą chcę iść przez życie, bez względu na to, czy będzie to raj, czy otchłań piekieł...” Był jej za to wdzięczny.

Szli już jakieś dwadzieścia minut. Przed chwilą zostawili miasto za sobą, z przodu zaś dojrzeliby niewielką altanę, a przed nią kilkoro ludzi, krzątających się wokół dużych przyczep. Za komórką po prawej stronie pięć umięśnionych braminów piło wodę. Było jasne, że karawana zaraz rusza.

Ktoś ich zauważył i wszedł do altany. Po chwili ta sama osoba wyszła, ale już w towarzystwie rosnącego mężczyzny. Jonathan, Evelyn i pastor podeszli do grupy ludzi. Potężny mężczyzna spojrzał na nich badawczo, skupiając uwagę na ich pakunkach, i zwrócił się do pastora:

- Witaj, Juliusie.

- Witam cię, Bruno – odrzekł pastor Julius i westchnął. – To jest właśnie ta sprawa, o której rozmawialiśmy...

- Rozumiem – odpowiedział Bruno. – Za chwilę ruszamy. Dajcie Nickowi swoje pakunki – zwrócił się do Jonathana i Evelyn.

Na te słowa podszedł do nich niski chłopak z szerokim uśmiechem. Jonathan jednak zawahał się.

- Ale, pastorze... – zwrócił się do Juliusa, przerwał mu Bruno:
- Spokojnie, rozmawiałem z Juliusem na wasz temat. Macie sporo szczęścia, że akurat dzisiaj wyjeżdżamy i możecie się z nami zabrać. Wiem, że jesteście w niebezpieczeństwie, dlatego musimy ruszać, nim zrobi się za późno. Na rozmowy będzie jeszcze czas.

Jonathan zrozumiał, że cała sprawa jest już ustawiona i spojrzął na pastora z wdzięcznością. Evelyn przytuliła się do niego. Julius uśmiechnął się i powiedział:

- Niech Bóg ma was w swojej opiece. A teraz szybko...

Podali Nickowi swoje bagaże. Julius poszedł porozmawiać ze starszym mężczyzną z lekkim uśmiechem na twarzy. W międzyczasie ekipa ustawiła już braminy do przyczep. Bruno przeszedł się między nimi, sprawdzając mocowania sznurów i zaczepów. Nick dołożył rzeczy Jonathana i Evelyn do jednej z przyczep.

- Gotowe – powiedział do Bruno.

Bruno zawołał Juliusa, poszedł do Jonathana i Evelyn i zwrócił się do nich:

- Jeszcze tylko jedno: przed kim uciekacie?

- Przed moim bratem – odpowiedział Jonathan. – Nazywa się Mark Thomas.

Bruno zastygł przez moment w bezruchu. Za nim zebrali się pozostali członkowie karawany, przysłuchując się uważnie. Nickowi uśmiech spłynął z twarzy.

- Słucham? – zapytał cicho, patrząc się jakby z niedowierzaniem na Jonathana. Evelyn zadrżała, ściskając mocno ramię swojego ukochanego.

- To, co słyszałeś, Brunonie – odrzekł po chwili zniecierpliwiony Julius. – Mówiłem ci, że sprawa jest poważna. Zgodziłeś się...

- Ale nie powiedziałaś, że aż tak poważna! – zaperzył się Bruno i zaczął chodzić przed nimi w lewo i prawo. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, mój drogi bracie, jaką on sławę wyrobił sobie między Den, a Vault City?! Niemal żadna karawana nie podąża już utartym szlakiem, bo to prawie samobójstwo! Nie – stanął w końcu i spojrzął się na nich, kręcąc głową – nie mogę się na to...

- Skończ! – zagrzmiął Julius. – Thomas jest w mieście i radziłbym ci, żebyście się już zbierali. Ja tymczasem zrobię, co będę mógł, żeby przepędzić go z powrotem na północ, albo na zachód, bo tu chodzi nie tylko o bezpieczeństwo twojej karawany, ale i o troje niewinnych ludzkich istnień!

- Jakie troje?! – zachrypiął Bruno i ku jemu zdziwieniu Jonathan również zrobił zaskoczona minę. Evelyn zmieszana się:

- Jestem w ciąży. Przepraszam, kochanie, nie chciałam, żebyś tak się tego dowiedział – zwróciła się do Jonathana. Ten jednak tylko jeszcze mocniej ją przytulił i pocałował w czoło. Julius natomiast patrzył się surowo na swojego brata. Bruno, złapał się za głowę, ale jakby w końcu podjął decyzję, otrząsnął się i rzekł:

- Dobra, ruszamy. Nick, usadź ich pierwszym wagonie – zwrócił się do swojego towarzysza. – Będziesz ich opiekunem. Reszta, na miejsca!

Nick kiwnął głową, pozostali członkowie załogi ruszyli w kierunku przyczep. Jonathan i Evelyn spojrzeli na pastora Juliusa. Mieli łzy w oczach, brakło im słów. On tylko pogładził ich po głowach i rzekł:

- Trzymajcie się, wierzę, że wszystko będzie dobrze.

Wzruszenie ścisnęło im gardła. Podeszli za Nickiem do pierwszej przyczepy, do której podstawiony był solidny, umięśniony bramin. Nick wskazał im miejsca, w których mieli usiąść, sam zaś zasiadł zaraz za potężnym zwierzęciem, łapiąc w ręce coś, co przypominało lejce. Przed nimi pojawił się Bruno, dosiadający, jeszcze wyższego bramina, trzymając w ręce jakieś czarne blaszane pudełko i spojrzął po całej karawanie.

- Będziemy jechać do bę – oznajmił donośnym głosem. – Przystanki tylko w razie poważnych wypadków. Jak słyszeliście sprawa jest najwyższej rangi, a wiedzcie, że Thomas to kawał drania. Nie ociągać się! W drogę!

Po tych słowach mocno uderzył w czarne pudło, które okazało się swego rodzaju reflektorem, zapalając je i ustawił na grzbiecie swojego bramina. To samo wykonał Nick i obejrzał się. Jonathan i Evelyn spojrzeli do tyłu – dwie pozostałe przyczepy już jarzyły się światłem lamp napędzanych małymi ogniwami. Zaraz za nimi jechała również jakaś para. Mieli zakolczykowane całe uczy i byli całkowicie łysi. Ostatni wagon karawany zamykało dwóch mężczyzn – prowadzący przyczepę, do której podpięte były dwa, nieco mniejsze niż ten Nicka, braminy, łagodnie się uśmiechał, spoglądając na nich. Był dużo starszy od drugiego, który, jak zauważył Jonathan ładował strzelbę bojową. To jakby go uspokoiło. Nick wyszczerzył zęby do Jonathana i Evelyn:

- Nie przejmujcie się nim – powiedział i wskazał głową na Bruno. – On czasami ma takie odchyły, ale to dobry człowiek. I dobry karawaniarz.

Jonathan kiwnął głową. Karawana ruszyła.

Jak powiedział Bruno, pierwszy dłuższy postój mieli po ponad dwudziestu czterech godzinach. Dali odpocząć przede wszystkim braminom, bo tempo wędrówki wydawało się naprawdę szybkie. Jednak nie stali długo i ruszyli kilka minut po północy.

W trakcie wędrówki Jonathan i Evelyn mieli okazję poznać lepiej Nicka, który okazał się duszą towarzystwa. Prawie zawsze uśmiechnięty, zabawiał pozostałych członków karawany żartami i różnymi opowiastkami wziętymi z jego przygody z karawaniarstwem. Wydawał się nieco beztroski, ale był sprawnym i szybkim pracownikiem. No i był prawą ręką Bruno. Zapoznali się też z pozostałymi: parą punktów z drugiego wagonu byli Natalie i Mauner. Wyglądali dość groźnie ubrani w skóry gekonów, całkowicie pozbawieni włosów na głowie i z strzelbami powtarzalnymi w dłoniach. Jednak, kiedy oddawali się wspólnej adoracji, jakimi były czułe słówka szeptane do ucha i patrzenie prosto w oczy, wyglądali jak dwa nieopierzone gołąbki.

Starszy pan, z którym Julius rozmawiał zaraz przed odjazdem okazał się stryjem pastora i Bruno. W Jonasiu, bo tak miał na imię, odnaleźli pokrewną duszę, jako że również swego czasu uciekał przed kimś, kto – jak to krótko określił – nie był mu zbyt życzliwy. Pomógł mu Julius, co nie było niespodzianką dla Jonathana. Towarzyszem Jonasa w wagonie był traper Mulder – niewiele mówił, zwykle do niego zwracał się Bruno, kiedy chodziło o wybór miejsca na postój.

Jechali już ponad tydzień. Jonathan miał wrażenie, że czasami zmieniali kierunek podróży – jakby celowo omijali pewne miejsca. Tłumaczył to sobie tym, że chcą zmylić ewentualny pościg. Czasami jednak odnosił niejasne przeczucie, że Bruno jest coraz mniej przychylny obecności jego i Evelyn w karawanie. W tym czasie Jonathan i Bruno jeszcze tak naprawdę nie rozmawiali dłużej ze sobą. Wiedział on jednak, że Bruno zbiera się do tej rozmowy, bo coraz częściej oglądał się za siebie spoglądając na nich, jakby zastanawiając się jak zacząć. Dziewczyna zaś, mimo że była w stanie, który nie był sprzyjający podróżom, zwłaszcza w takich warunkach, dzielnie znosiła trudy wędrówki. Często rozmawiali ze sobą – mieli przecież aż nadto dużo czasu. Snuli plany, marzenia o wspólnym domu, jakie imię nadadzą ich dziecku. Zbliżyli się do siebie jeszcze bardziej – tak, że stali się nierozzerwalnie połączeni duchowo.

Ale rozmawiali też o tym, o czym coraz częściej się przekonywali – że nie są już mile widziani w karawanie. I prawdę mówiąc – Jonathan nie bardzo wiedział jak temu zaradzić. Ekipie karawany nie przeszkadzali, ale Bruno zdawał się wyglądać na coraz bardziej zdeterminowanego do poważnej rozmowy. Jonathan obawiał się jej nieco i zaczął poważnie myśleć o tym, co będzie jeśli przewodnik karawany uzna za stosowne pożegnanie się. Starał się nie wpadać w panikę, często Evelyn uspokajała go, ale wciąż żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. Zamieszkanie w którymś z dużych miast, zwłaszcza po krótkiej przygodzie z New Reno, było bardzo ryzykowne. Ale przyjdzie w końcu czas, że Evelyn zacznie rodzić i wtedy musi mieć najlepsze do tego warunki.

Po dziesięciu dniach podróży otworzyła się dla nich pewna tymczasowa możliwość. Otóż mijali pewne gospodarstwo, co wydało się Jonathanowi paradoksalne – pośrodku pustkowia. Ale kiedy rozejrzał się uważniej dostrzegł, że niedaleko płynęła mała rzeczka, teren był pagórkowaty i dość urozmaicony, a zasadzone warzywa rosły całkiem urodzajnie. Takie życie na pewno nie byłoby luksusowe, ale przynajmniej bezpieczne. Poza tym niedaleko był jeden z utartych szlaków karawan, a więc dostęp do w miarę aktualnych wieści również by był. Podzielił się tą refleksją z Evelyn.

Jonathan nie musiał długo czekać na to, aż Bruno zdecyduje się w końcu na szczerą konwersację. Dwunastego dnia podróży, podczas postoju, kiedy wszyscy usiedli po posiłku wokół ogniska, Bruno powiedział, zwracając się w stronę Jonathana i Evelyn:

- Słuchajcie – głos miał nad wyraz łagodny – jedziemy już dość długo. Normalnie trasę, którą przebyliśmy dotąd pokonujemy w około pięć dni. Nie wiem dokąd chcecie jechać, ale nawet nie bardzo mnie to interesuje. Bardziej obchodzi mnie to, czy my nie będziemy mieli naprawdę dużych kłopotów – wskazał ręką na swoją ekipę. Westchnął – słuchajcie, byłoby bardzo pomocne, jeśli przybliżylibyście nieco postać Thomasa. Za co was ściga, czy też mieliście karawanę, albo podróżowaliście w szyku i naraziliście się mu? O co chodzi? To jest naprawdę groźny przestępca. Już od dłuższego czasu terroryzuje karawany na północy.

Jonathan spojrzął po wszystkich. Siedzieli w milczeniu i skupieniu, wpatrzeni w niego. Spojrzął na Evelyn. Uśmiechnęła się lekko i szepnęła mu do ucha:

- Pomogę ci.

Jonathan zebrał się w sobie i rzekł:

- No dobrze. To było tak...

„Redding – złote miasto z przyszłością”. Taki napis głosił transparent zawieszony na dachu niedawno postawionego saloonu... Ilekroć Jonathan przechodził obok niego uśmiechał się pod nosem. A przechodził tam często – była to najkrótsza droga z pracy do Evelyn, jego narzeczonej. Akurat tego dnia szedł po nią, by zabrać ją na sześćdziesiąte urodziny, które obchodził jego ojciec.

Marschall Thomas był współwłaścicielem pierwszej kopalni złota w powojennej Kalifornii. Jonathan był księgowym i prawą ręką ojca. Pełnił tę funkcję od prawie dwóch lat. Trzeba przyznać, że interes rozwijał się coraz lepiej – miasto przyciągało ludzi chętnych do pracy, zaludniało się, a przez to stawało się bogatsze. Powstał bar i hotel, bardziej odpowiedzialną służbę pełnił szeryf. Wszystko szło w jak najlepszym kierunku.

Jonathan minął niewielką zagrodę po prawej stronie i stanął w drzwiach. Nie zdążył nawet zapukać, a już otworzyła mu elegancko ubrana starsza pani, trzymająca w rękach jakieś zawiniątko..

- Dzień dobry.

- Witaj, Jonny – powiedziała uśmiechając się ciepło. – Eve jest już prawie gotowa. Przygotowałam pyszne ciasto. Na pewno wszystkim będzie smakować.

W tym momencie za mamą Evelyn pojawiła się ona sama z promiennym uśmiechem na twarzy.

- Cześć, skarbie! Możemy wychodzić.

Obie panie wyszły na zewnątrz, zabezpieczyły mieszkanie i udały się z Jonathanem w kierunku centrum miasta. Skręcili w kierunku zachodnim. Mijali kolejne domy, hotel i niewielki szpital, rozmawiając po drodze wesoło. W końcu ich oczom ukazała się „dzielnicą biznesową”, jak zwykli nazywać mieszkańcy Redding, obszar wokół wejścia do kopalni na zachodzie miasta. Było tam kilka budynków, na jednym z nich z prawej strony wisiał czerwono-czarny szyld „Thomas – LeBarge”. Udali się w przeciwnym kierunku. Minęli siedzibę właścicieli kopalni, uszli jeszcze kawałek i stanęli przed ładnym murowanym, świeżo postawionym domem. Jonathan otworzył drzwi i puścił panie przodem.

Ich oczom ukazał się ładnie urządzonej pokój dzienny. Był przestronny i jasny, nawet mimo tego, że słońce powoli chowało się za horyzont. Po lewej stronie widniało wejście do kuchni, dokąd prawie natychmiast udała się mama Evelyn. Zdażyła zwrócić się do Jonathana:

- Ja się biorę za przygotowanie jedzenia. Sarah LeBarge zaraz powinna się tu zjawić. Pomoże mi, a wy, kochaneczki, nakrycie może do stołu?

Jonathan kiwnął głową. Zaczęli przygotowania do przyjęcia gości oraz jubilatą. W międzyczasie do domu Thomasów zawitała również żona drugiego właściciela kopalni, pani LeBarge, energiczna i pełna wigoru kobieta, która wniosła dużo humoru i ożywienia. W ciągu dwóch godzin wszystko było już przygotowane. Zaczęli schodzić się goście.

Salon był wypełniony zapachem dań przyrządzonych przez mamę Evelyn oraz elegancko ubranymi ludźmi, którzy wesoło między sobą rozmawiali. Jonathan i Evelyn siedzieli w oknie wypatrując najważniejszej osoby tego dnia.

- Sarah, kiedy oni będą? – zawołał starszy, wysoki jegomość w kierunku pani LeBarge.

- Już niedługo – odpowiedziała mu. – Kazałam Nicolasowi posiedzieć w pracy nieco dłużej, żebyśmy mogli przygotować tę niespodziankę.

- Z pewnością Marschall będzie zadowolony – powiedziała pani Muriel. – A już na pewno zaskoczony.

- Już idą! – krzyknęła nagle Evelyn. Wzięła Jonathana za rękę i podeszła z nim do reszty gości, którzy wyciszyli się i wpatrywali w drzwi wejściowe. Wszyscy usłyszeli kroki i strzępek rozmowy dwóch mężczyzn:

- ... także wynajęcie kogoś do ochrony interesu, to wcale nie najgorszy pomysł.

- Słusznie.

Kroki ucichły i drzwi otworzyły się, a z ust wszystkich zebranych w salonie wydobyło się głośne: „Sto lat! Sto lat!”. Na twarzy jednego z panów ukazało się głębokie zaskoczenie, a na drugiego – szeroki uśmiech. Po tym można było rozpoznać pana Thomasa, który już wszedł między gości, witając się i dziękując.

- Kto za to odpowiada? Przyznać się – powiedział z uśmiechem na zmęczonej twarzy. Jonathan był bardzo do niego podobny, tak jak ojciec zawsze wyglądał na starszego niż był.

- To twój syn, Marschall – odpowiedziała mama Evelyn. – To on był całym prowodyrem!

- Och, Jonathan, niech cię wyściskam jak rad! – odrzekł pan Thomas, klepiąc syna po ramieniu. – Ale mi sprawiłeś niespodziankę!
Jonathan uśmiechnął się.

Przyjęcie trwało do bardzo późna, już świtało, kiedy ostatni goście opuszczali dom Thomasów. Jonathan zamknął drzwi za panią Muriel, która jeszcze raz życzyła panu Marschallowi wszelkiej pomyślności, spojrzął na zmęczoną, ale szczęśliwą Evelyn, ziewnął i powiedział do ojca:

- Tato, idziemy się trochę przespać.

Pan Thomas kiwnął głową, siedząc w fotelu przy kominku i pykając fajkę. Jonathan przytulił Evelyn i oboje weszli do pokoju po prawej stronie salonu, przytknęli drzwi. Położyli się w łóżku twarzami do siebie, ale nie zasnęli – cicho rozmawiali. Po chwili jednak sen zmorzył oboje.

Nagły trzask tuż pod oknem sprawił, że oboje prawie podskoczyli. Na dworze było już jasno, ale wciąż wczesnie. Jonathan przetarł oczy, wstał i wyjrzał przez szybę. Nikogo nie było.

- Może to po prostu szczur – powiedziała Evelyn. – Przecież pełno ich tutaj.

- Masz rację – odrzekł Jonathan i położył się z powrotem obok narzeczonej. – Chyba nigdy się stąd nie wyniosą...

W tym momencie usłyszeli jak drzwi frontowe otwierają się. Jonathan podniósł brwi w wyrazie lekkiego zdumienia i zamarł w bezruchu, wstając z łóżka. Sprawiał to głęboki, męski głos, szorstki i nieprzyjemny, który Jonathan jednak znał. Był to głos jego brata, który powiedział:

- Witam cię, ojcze.

Mężczyzna wycodził te słowa z wyraźną pogardą. Pan Marschall nie odzywał się, a Jonathan pomyślał, że musi być tak samo zaskoczony jak on sam.

- Heh, no tak, pierwszy marca – odezwał się znów ten głos jak z koszmaru. – Wszystkiego... – mężczyzna prychnął – najlepszego.

- Mark... – w końcu odezwał się pan Thomas, ale tak cicho i słabo, że Jonathan ledwie go dosłyszał.

- Widzę, że całkiem nieźle ci się wiedzie – powiedział Mark ze złością. – Słyszałem o twojej kopalni, interesie, pieniądzech. Jesteś sławny, ojcze, wiesz? Północna Kalifornia cię zna.

Jonathan w tym czasie najciszej jak potrafił podszedł do drzwi i kucnął. Chciał wyrzec przez szparę między nimi a framugą, ale była ona zbyt mała. Nie chciał się jednak zdradzić uchylaniem drzwi, że jest w domu – miał przeczucie, że nie powinien tego robić.

- Dlaczego nic nie mówisz? – zapytał Mark i znów prychnął szyderczo. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz? Swojego pierworodnego?

Jonathan usłyszał skrzywienie – to pan Thomas poruszył się w fotelu, a może wstał?

- Mark, mój synu... – zaczął, ale syn przerwał mu:

- „Synu”... Teraz mówisz „synu” – syknął gniewnie. – Ale przed rokiem nic nie cię nie powstrzymało, żeby powiedzieć: „idź precz, nie chcę cię znać”?

Jonathan usłyszał kroki, powoli przemierzające pokój.

- Mark – powiedział pan Marschall, ale już pewniej i mocniej, jakby przypomniał sobie to, o czym mówi jego syn. – Obrabiłeś złą drogę życia i nie pochwaliłem jej. Miałem ci bić brawo za napadanie i ograbianie ludzi?...

- Milcz! – zagrział Mark. – Na jakiej podstawie ty od momentu pojawienia się na świecie Jonathana – tutaj wspomniany zadrżał – uważałeś mnie za coś gorszego? Jakim prawem pozbawiłeś mnie marzeń, wierząc tylko w niego?!

- Co ty mówisz?! – krzyknął pan Thomas, a Jonathan odniósł wrażenie, że Mark jakby się spłoszył. – Ubzdurałeś to sobie! Powtarzam ci tak jak przed rokiem – zawsze byłeś dla mnie tak samo ważny jak Jonathan. Chciałem zapewnić ci godną przyszłość, sam widziałeś, że interes rozwija się. Myślisz, że nie byłbyś teraz kimś w Redding? Byłbyś wiceszefem...

- Powiedziałem: milcz!!! – przerwał mu brutalnie Mark. Rozległy się szybkie kroki i szelest ubrań. – Gównu mnie obchodzi, co masz mi do powiedzenia – wyszeptał Mark, ale Jonathan usłyszał go. Po całym ciele przeszły mu dreszcze. – Jestem kim jestem, i ciebie też powinno to gównu obchodzić. Wcale nie jestem mniej sławny niż ty, a teraz zamierzam być nawet bardziej...

Jonathan zrozumiał jego słowa – Mark przyjechał tylko po to, by zabić ojca, zdobyć sławę usuwając jednego z najbardziej wpływowych ludzi na północ od San Francisco. Nie mógł siedzieć bezczynnie, ale strach przytwierdził go do podłogi.

Pan Thomas natomiast chyba nie pojął do końca słów syna i mówił dalej:

- Chcesz pieniędzy? Proszę. Chcesz mnie ograbić? Śmiało. Widzę, że tylko na tyle cię stać...

Rozległo się głucho uderzenie, a po nim łoskot spadającego na fotel ciała. Jonathan zdążył usłyszeć jeszcze, jak pan Thomas cicho jęknął, a po chwili ozdobny wazon, który stał na stoliku obok kominka znalazł się na drzwiach do jego sypialni. Całe szczęście, że Jonathan klęczał, bo drzwi z pewnością by się otworzyły – dzięki temu zatrzymały się na jego kolanie, uchylając nieco szparę. Teraz miał on dobry widok na ojca i brata. Pan Thomas trzymał się za twarz, pomiędzy palców płynęła mu krew. Mark stał odwrócony do niego tyłem, najwyraźniej nie zwrócił uwagi na to, że drzwi w uchylły się po jego rzucie wazonem. Był to wysoki, ubrany całkowicie na czarno, potężnie zbudowany mężczyzna. Miał na sobie skórzaną kurtkę, w której najwyraźniej czegoś szukał. Po chwili odwrócił się. W ręce trzymał pistolet. Spojrzał na ojca i wymierzył w niego. Rozległ się szcęk naciąganego kurka.

Na ten dźwięk pan Thomas opuścił dłonie i spojrzał na syna. W jego zakrwawionej twarzy nie można było znaleźć strachu – raczej zawód.

- Ach, więc tak chcesz stać się jeszcze bardziej sławny – powiedział spokojnie i pokiwał głową. – A ja tak w ciebie wierzyłem...

Mark zastygł w bezruchu z bronią wycelowaną w ojca. W jego oczach Jonathan nie dostrzegł kompletnie żadnych uczuć.

- Nie – odrzekł, spuścił wzrok i zabezpieczył z powrotem pistolet. Schował go do kieszeni, zostawiając w niej rękę. Nie podniósł oczu. Jonathan nie mógł w to uwierzyć – czy teraz wszystko wróci do normalności, czy będą w końcu rodziną? Czy wybaczą sobie dawne zaszłości?

Pan Thomas wstał z fotela, odetchnął głęboko.

- Synu – wyszeptał, a z oczu pociekły mu łzy – mój wspaniały synu...

- Ojcie – powiedział Mark, półgłosem i zaczął iść w kierunku ojca, wciąż z ręką w kieszeni kurtki. Pan Thomas rozłożył ręce na znak, że chce przytulić syna. Mark zbliżył się do ojca i spojrzał mu w oczy.

- Przykro mi – wyszeptał, błyskawicznie wyjął rękę z kurtki i pchnął ojca nożem, który przez moment błysnął mu w dłoni.

Jonathan, który patrząc na tę scenę włożył sobie knykcie do ust, żeby przypadkiem nie krzyknąć, nie wytrzymał. Całkowicie odrzucił strach, w jego głowie pulsowała zemsta.

- Nie!!! – wrzasnął i ruszył na swojego brata. Zupełnie stracił panowanie – chciał tylko, żeby Mark umarł, żeby cierpiał. Chciał go zabić!

Ale jego starszy brat był szybszy. Zanim się zorientował Jonathan już miał przed własnymi oczyma wylot lufy pistoletu. Stanął jak wryty – jego wściekłość mieszała się teraz z jeszcze większym strachem.

- Jonathan, jak miło cię widzieć – powiedział Mark tym samym kpiącym tonem, co jeszcze przed chwilą do ojca, było jednak widać, że nie spodziewał się ujrzeć tu swojego brata, bo przyspieszył oddechu. Ale zaskoczenie ustępowało, na twarzy malował mu się wyraz dzikiego triumfu.

- No, nie cieszysz się? – zapytał, rozkładając wolną rękę, jak do powitania. W drugiej wciąż tkwił pistolet, z którego celował do brata. – Wyściskaj mnie serdecznie, chyba się mnie nie boisz.

Jonathan patrzył na niego bezsilnie. Docierało do niego, że za chwilę podzieli los swojego ojca, ale nie mógł się poddać – musi ratować Evelyn. Ratować Evelyn...

- Ty morderco... – wycedził przez zęby.

- Ja mordercą? – odpowiedział Mark i zaśmiał się szyderczo. Śmiał się długo i co najgorsze – szczerze, a jego okrutny śmiech sprawiał, że Jonathan tracił czucie w nogach. – Nie, ja tylko szukam sprawiedliwości. I jak widać – wskazał ręką na ciało ojca – odnajduję ją. A teraz, och, szczęśliwy losie, poczuję się chyba spełniony – kpiący uśmiech zszedł mu z twarzy, a w oczach znów pojawiła się żądza mordy.

Jonathan trząsał się jak osika na wietrze. Mark ciągnął dalej:

- Powiedz mi tylko jedno. Jak to jest żyć ciągle na piedestale ojcowskich uczuć, co? Jak to jest być całe życie kochanym, zupełnie za nic? Nic nie osiągnąłeś w swoim życiu, w przeciwieństwie do mnie. Ja jestem sławny, a i tak z tego powodu ojciec jeszcze bardziej mnie znienawidził.

- Sławny? – zapytał Jonathan, wciąż myśląc o tym, jak ocalić Evelyn. – O czym ty w ogóle mówisz? Ojciec wcale cię nie nienawidził. Przez wiele nocy, sam widziałem, patrzył się na twoje zdjęcie, płacząc. On tęsknił za tobą, bo cię kochał i na pewno by ci wybaczył, gdybyś wrócił. A ty go zabiłeś...

Mark po raz drugi tego dnia załadował broń, przerywając bratu.

- Wiesz, ty chyba jesteś bardziej jego synem, niż ja, bo mówisz dokładnie takie same bzdury – powiedział ruszając w kierunku Jonathana. – A ja jakoś nie mam ochoty tego wysłuchiwać.

Jonathan cofał się przed nim w kierunku swojego pokoju, jednak przypomniał sobie o Evelyn i skręcił przed drzwiami w prawo.

- Dlaczego uciekasz? – zapytał Mark. – To nie boli, możesz spytać swojego ojca – nie powinien nic powiedzieć, a milczenie oznacza przecież zgodę.

- Jesteś nienormalny... – odrzekł Jonathan. Na te słowa Mark ruszył ku niemu szybciej.

- Zamknij się! – ryknął. – Nie waż się odzywać do mnie w ten sposób!...

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe.

- Dzień dobry, przepraszam, że tak wcześnie, ale zapomniałam wczoraj... – do mieszkania weszła pani LeBarge i przerwała. Zakryła usta ręką i patrząc na ciało pana Thomasa, spojrzała na Marka, który wciąż celował w Jonathana. On szybko skierował na nią broń. Zamiast wystrzału rozległ się głuchy odgłos uderzenia, a za chwilę Mark runął nieprzytomny na ziemię. Pistolet wyleciał mu z ręki i upadł na

ziemię – dopiero teraz wystrzelił. Kula utknęła w ścianie. Jonathan przez chwilę nie wiedział, co się dzieje.

- Jonathan – powiedziała cicho Evelyn – nic ci nie jest?

Jonathan poczuł ulgę, która niemal odebrała mu siły. Zachwiał się, ale Evelyn przytrzymała go i przytuliła.

- Tak się bałam... – wyszeptała.

- Co tu się dzieje?... – odezwała się pani LeBarge, podchodząc do pana Thomasa. – Marschall... mój Boże... – z oczu popłynęły jej łzy.

Jonathan i Evelyn podeszli do niej i przytulili ją. Jednak po chwili Jonathan przypomniał sobie o leżącym obok Marku, a Evelyn jakby wyprzedziła jego myśli. Szybko podeszła do niego i zabrała pistolet z podłogi. Zaczęła się rozglądać.

- Jonathan, masz linę? – zapytała.

Jonathan kiwnął głową i poszedł w kierunku kuchni. Pani LeBarge przykryła pana Thomasa jego marynarką i złapała jego dłoń, jeszcze przez chwilę pograżając się w zadumie.

W tym momencie do domu wszedł pan LeBarge ze strzelbą w rękach. Rozejrzał się po salonie z wyrazem zdumienia na twarzy. Spojrzał się z niedowierzaniem na pana Thomasa, na leżącego Marka i na Evelyn. Podeszedł do swojej żony.

- Usłyszałem strzał – powiedział, a pani LeBarge przytuliła się do niego. – Czy Marschall?... – spojrzał na Evelyn, która pokręciła głową. Pan LeBarge zamknął oczy.

Jonathan wszedł do salonu.

- Panie LeBarge...

- Jonathan, tak mi przykro, nic ci nie jest?

- Nie – odrzekł i podeszedł do Marka. – Pomoże nam pan?

Razem z Evelyn zaczęli przewracać go na brzuch. Pan LeBarge podeszedł i w trójkę skrępowali mu ręce i nogi. W międzyczasie pani LeBarge oświadczyła, że idzie po szeryfa.

Popołudniem całe miasto żyło już tylko jedną wiadomością – Marschall Thomas nie żyje, został zamordowany przez własnego syna. Mark siedział w areszcie, nie okazując ani krzty skruchy i nie odzywając się ani słowem. Kiedy się ocknął powiedział tylko: „Jeśli mnie nie wypuścicie jeszcze wiele osób będzie musiało zginąć. Jonathan Thomas będzie pierwszym”. Jonathana nie było przy jego wyprowadzeniu – razem z Evelyn czuwali przy ojcu w miejscowej kaplicy. Później dowiedział się o tym od pani Muriel.

Wieczorem razem z Evelyn i jej mamą oraz państwem LeBarge siedzieli w ciszy w ich domu. Jonathan wciąż miał przed oczyma widok osuwającego się na fotel ciała ojca. Łzy płynęły mu po policzkach, nie wiedział jak je powstrzymać. Zastanawiał się, co teraz będzie. Co się stanie z kopalnią i z interesem, a przede wszystkim z nim i Evelyn. Domyślał się bowiem, że jeśli Mark był zdolny do zabicia własnego ojca, to nie będzie miał większych skrupułów z pozbawieniem życia i jego. I jeśli wierzyć jego słowom i krążącym o nim opowieściom, które niemal natychmiast pojawiły się po śmierci pana Thomasa – miał ludzi, którzy z pewnością będą chcieli odbić swojego szefa. Co prawda szeryf zatrudnił do pilnowania więzienia dodatkowych strażników, ale niebezpieczeństwo i tak było duże. Zbyt duże.

Otarł łzy z twarzy i westchnął głęboko. Spojrzał na Evelyn.

- Podjąłem decyzję – powiedział niskim głosem. Wszyscy patrzyli się na niego pytająco. – Muszę stąd wyjechać. Niepostrzeżenie i jak najszybciej.

Państwo LeBarge spojrzeli się po sobie, a mama Evelyn ze strachem na swoją córkę.

- Ale po co? – zapytał pan LeBarge. – Przecież Thomas siedzi w więzieniu, nic ci tu nie grozi.

- Myślę, że on jest szefem gangu – odrzekł Jonathan. – A jego ludzie na pewno zaczną planować jego odbicie, o ile już tego nie robią. Kiedy go uwolnią ruszą prosto tutaj. Nie mogę pozwolić, żeby komukolwiek stała się przeze mnie krzywda.

Wszyscy słuchali go w milczeniu. Evelyn jako pierwsza przerwała tę ciszę.

- Rozumiem cię, Jonny – powiedziała i wstała. – Zbierajmy się, im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Jonathan patrzył na nią pytająco.

- No przecież nie wyjedziesz sam! – odrzekła. Jej matka spuściła głowę.

Jonathan jednak pokręcił głową i oświadczył:

- Przykro mi, skarbie, ale... będziesz musiała zostać z matką. Nie mogę cię narażać.

- Bzdury! – odrzekła. – Jestem z tobą i nigdzie nie pojedziesz beze mnie...

- Ale, Evelyn... – powiedział, wstając.

- Nie, Jonathan – przerwała mu. – Nie pozwolę ci. Albo jedziemy razem, albo nie jedziesz w ogóle.

Stała z rękoma opartymi na biodrach i wyrazem zdecydowania na twarzy. Pani Muriel ukryła twarz w dłoniach. Jonathan w końcu uznał, że nie warto się kłócić. Zwrócił się do pana LeBarge.

- Proszę zaopiekować się całym interesem. Ojciec miał w panu wspólnika, ale i przyjaciela, niech go pan nie zawiedzie. Myślę, że jego siostrzeniec, Zeke, będzie godnym następcą. Jako kierownik wykopów spisuje się przecież świetnie.

Pan LeBarge kiwnął głową, a jego żona powiedziała:

- Ale, Jonathan, dokąd ty się udasz? Znasz kogoś, kto mógłby być ci pomocny?

Jonathan nic nie powiedział. Tak naprawdę wiedział, że to pytanie padnie, ale nie znał odpowiedzi. Odezwała się za to mama Evelyn.

- Jedźcie do New Reno – odrzekła, ocierając łzy i spoglądając to na niego, to na córkę. – Odnajdźcie tam pastora Juliusa Hawke'a. Powołacie się na mnie i pomoże wam.

Pan LeBarge westchnął i powiedział:

- Postaramy się, aby Thomas nie wyszedł z aresztu i nie szukał was. Niech Bóg ma was w swojej opiece...

Nad ranem Jonathan i Evelyn byli już gotowi do drogi. Stali przy południowym wylocie z miasta. Do małej przyczepki pan LeBarge zaprzął im młodego bramina i instruował Jonathana jak bezpiecznie dotrzeć do celu. Pani Muriel na boku rozmawiała cicho z Evelyn. Po chwili dziewczyna dołączyła do Jonathana. Ostatnie słowa pożegnania i ruszyli. Jonathan ostatni raz obejrzał się, chcąc spojrzeć na miasto, które tak bardzo ukochał. Ale było jeszcze ciemno, dojrzał jedynie sylwetki pana LeBarge i mamy Evelyn. Tyle zostawiał za sobą i wbrew sobie, ale nie miał innego wyjścia. Nie chciał, żeby ktokolwiek musiał przez niego zginąć, ale też nie miał pewności, że to się nie zdarzy. Miał jednak przy sobie swoją narzeczoną i poczuł ulgę – jej śmierci po prostu by nie przeżył.

Jechali tak ponad tydzień. Pustkowie było momentami przerażające, ale na szczęście nie spotykali ani dzikich zwierząt, ani nieprzychylnych ludzi. Im bliżej New Reno, tym częściej spotykali małe osady. To może nawet niewłaściwe słowo – były to

po prostu obozy koczowników, rodzin lub pojedynczych osób, którzy często mieli do zaoferowania coś do jedzenia, czy prostą broń. W końcu dotarli na małe wzgórze, z którego można było zobaczyć miasto. New Reno prezentowało się stąd naprawdę biednie.

Było zniszczone, tak jak chyba każde miasto w ówczesnym świecie. Z dawnych wieżowców pozostały jedynie stalowe szkielety, już i tak niknące, bo rozgrabiane. Nikt nie widział w tym niczego złego, wszystko, co miało jakąś wartość, było przez zwykłych ludzi zamieniane na jedzenie – to normalne. Ale docierając tutaj Jonathan miał wrażenie, że bardziej od żywności tutejsi ludzie cenią sobie... alkohol. Już na dalekich przedmieściach New Reno spotykali ludzi po prostu zapitych w sztorc. Nieco mniej zamroczeni żebrali o pieniądze na dalsze picie. Nie był to zachęcający widok, ale Evelyn uspokajała go, że wszystko będzie okej.

- Mama powiedziała mi, żebyśmy się nie zrażali – mówiła. – Musimy tylko znaleźć pastora, on nam pomoże.

Jonathan ufał jej.

W końcu dotarli do głównej arterii miasta. Jechali powoli rozglądając się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby im wskazać drogę do kościoła, jednak nadchodzący wieczór nie ułatwiał im tego. Zatrzymali się na pierwszym skrzyżowaniu dróg. Jonathan zsiadł z przyczepy i spojrzął dookoła.

- Chyba się kogoś zapytam – powiedział do Evelyn. Ona kiwnęła głową i odrzekła:

- Bądź ostrożny.

Jonathan podszedł do grupki ludzi, stojącej wokół beczki, w której palił się ogień.

- Przepraszam, czy wiedzą państwo, gdzie mogę znaleźć...

- Czego?! – przerwał mu jeden z bezdomnych. Spojrzął na niego prawym okiem – lewe było okropnie okaleczone. Jonathan wzdrygnął się.

- Nie, już nic...

- Co znaczy „już nic”?! – warknął mieszkaniec miasta, wyciągając nóż. – Pokazać ci, co to jest nic?! Nic to ty jesteś! A kosę pod żebra, to byś chciał, co?!

Jonathan zaczął się cofać z przerażeniem.

- Proszę pana, ja tylko... – zaczął, ale przerwał, bo dostrzegł, że pozostali bezdomni zaczęli iść w jego kierunku.

- Ashwood, zabieraj mu kasę! – krzyknął jeden z nich do tego, z którym Jonathan próbował rozmawiać.

- Spokój! – warknął Ashwood, odsłaniając zęby jak wilk. – Oddaj po dobroci, a nic ci się nie stanie.

Jonathan dotarł do swojej przyczepy. Ashwood i jego kompani byli coraz bliżej. Zaczęli otaczać przyczepę. W tym momencie Evelyn wyciągnęła pistolet, który niegdyś należał do brata Jonny'ego.

- Won, parszywce – powiedziała dobitnie, celując w Ashwooda. Ten zatrzymał się na chwilę. Uśmiechnął się kpiąco.

- Co, strzelisz do nas, laluniu? – zapytał cynicznie.

Evelyn nie odpowiedziała, tylko wycelowała w niebo i pociągnęła za spust. Na dźwięk strzału wszyscy bezdomni zaczęli uciekać do zniszczonego budynku, obok którego się grzali. Ponownie wycelowała w Ashwooda, który stał niewzruszony, choć minę miał już niepewną.

- Jeszcze coś? – zapytała Evelyn.

- Co tu się dzieje? – rozległ się nagle męski głos. Z prawej strony szedł do nich wysoki mężczyzna, o poważnym wyrazie twarzy. – Co, Ashwood, znów pełnisz honory odźwiernego New Reno?

Ashwood spojrzał się na niego z niechęcią, obrócił się w miejscu i podążył za pozostałymi pijakami. Mężczyzna spojrzał się na Jonathana i Evelyn, która opuściła broń.

- Nic wam się nie stało? – zapytał. – Zdaje się, że jesteście nowi w mieście.

- Tak, dopiero przyjechaliśmy – odpowiedziała Evelyn, zsiadając z przyczepy. Pistolet wciąż tkwił w jej ręce.

- Szukamy schronienia – dodał Jonathan słabym głosem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- W New Reno? – zapytał. – To kiepski wybór. Chyba nawet w Den jest bezpieczniej. A tak przy okazji – na imię mam Julius i jestem tutejszym pastorem.

- To Jonathan Thomas – odrzekła Evelyn, uśmiechając się. – A ja jestem córką Ocalonej Muriel z The Den. Może coś to pastorowi mówi?

Julius uniósł brwi i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Poważnie? No, oczywiście – powiedział, jakby sobie przypominając. – Tak, przecież miała córeczkę! Mój Boże, co u niej? Czy ma się dobrze?

- Tak i przesyła pozdrowienia – powiedziała Evelyn.

- Bardzo dziękuję – odrzekł pastor z ukłonem. – Ależ jesteś do niej podobna – dodał przyglądając się Evelyn, ale po chwili zmienił ton na poważniejszy. – Ale do sedna, co robicie w tak zepsutym miejscu jakim jest New Reno? Podejrzewam, że musiało stać się coś złego, że trafiliście aż tutaj.

- Tak, pastarze – odezwał się Jonathan. – Ale czy moglibyśmy udać się gdzieś na krótki odpoczynek? Jesteśmy bardzo zmęczeni.

- Oczywiście, proszę za mną – odpowiedział Julius.

Udali się za pastorem w kierunku zachodnim. O ile już kilka mil przed wejściem do miasta New Reno nie zachęcało do jego odwiedzenia, o tyle sam pobyt tutaj wręcz odstraszało. Na miejscu Jonathan i Evelyn przekonali się, że jest to miasto degeneratów, alkoholików i ćpunów, totalnie zniszczone i rujnowane jeszcze bardziej przez takich ludzi jak Ashwood, którego mieli okazję poznać. Pastor Julius po drodze opowiedział im krótko, między innymi o nim:

- Takich ludzi jest tu coraz więcej. To miasto, w którym trzeba być silnym, żeby przeżyć. Alkohol zastępuje tu wodę, używki pożywienie, a odloty po narkotykach są całą rzeczywistością. Dodatkowo młode dziewczyny coraz częściej wychodzą na ulicę. To miasto gasnących świateł i nie chodzi tu wcale o latarnie. – skwitował na koniec. Po chwili dodał: – A jaka jest wasza historia?

Jonathan i Evelyn opowiedzieli mu o wszystkim. Pastor był poruszony.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego ojca – powiedział do Jonathana. – Jednak muszę was ostrzec: ten Mark może tu w końcu zawitać. To miasto przyciąga takich ludzi.

Dotarli do niewysokiego budynku. Jedyne co odróżniało go od innych w tej części miasta, a w zasadzie niemal w całym New Reno były dość solidne ściany i czarny żeliwny krzyż, który ustawiony był tuż nad drzwiami wejściowymi.

- To jest nasza świątynia. Założyłem tu wspólnotę dla tych, których jeszcze nie dopadła zmora uzależnienia – dla dzieci, kobiet, wędrowców. A nawet uciekinierów – uśmiechnął się.

Pastor otworzył drzwi i weszli do środka. Przeszli przez niewielką salę wypełnioną ławkami, minęli prowizoryczny ołtarz i weszli na zaplecze.

- Słuchajcie – powiedział Julius. – Mogę dać wam dom, to nic wielkiego, po prostu opuszczony budynek. Ale zawsze można się w nim schronić. Jeśli chodzi o pieniądze...

- Mamy nieco gotówki – rzekł Jonathan. – Poza tym mogę się podjąć jakiejś pracy...

- Myślę, że coś by się znalazło – powiedział pastor i westchnął. – Uważajcie tu na siebie. Nie chcę powiedzieć, że trafiliście spod deszczu pod rynną, bo to, co przeżyliście to trauma, ale New Reno to nie najlepsze miejsce na dłuższy pobyt. Niszczy to, co ma się tutaj – wskazał na głowę – i tutaj – dotknął palcem piersi na wysokości serca. – Dopóki ja tu jestem będziecie bezpieczni. Będę nasłuchiwał wieści o Marku i informowałem was, oczywiście w miarę możliwości. Będzie dobrze – dodał i uśmiechnął się.

- Bardzo dziękujemy – odpowiedziała Evelyn i przytuliła Jonathana.

- Dzisiaj możecie przenocować tutaj – rzekł Julius. – Jutro zaprowadzę was do waszego nowego domu.

Jonathan i Evelyn zamieszkali w całkiem przytulnym domu, dwie przecznice od kościoła. Pastor znalazł również pracę dla Jonathana – był pomocnikiem w sklepie z bronią nieopodal ich domu, który powstał tuż po wojnie. Jego szefem został handlarz Aaron. Towar był drogi i w pełni legalny, dlatego drobne złodziejaski tu nie kupowały. Był to obiekt docelowy karawan, szukających uzbrojenia. Praca była nieźle płatna, jak na ówczesne warunki. Evelyn natomiast zajęła się domem. Często pomagała też pastrowi Juliusowi, przemierzając z nim miasto, pomagając ludziom, którzy zechcieli tej pomocy uzyskać.

Najbliższe tygodnie przyniosły Jonathanowi nieco spokoju. Nie było dnia, żeby nie myślał o ojcu, często też budził się w nocy zlany potem, mając przed oczyma jego twarz, ale to ustępowało. Nietrudna, ale czasochłonna praca nie dawała mu czasu, aby się zamartwiać, dystansowała go od ciężkich wspomnień. W głębi duszy był za to wdzięczny.

Był też wdzięczny Evelyn za jej wsparcie. Również, a raczej przede wszystkim dzięki niej żył normalnie. Poza tym, że nie załamał się po stracie jednej z najbliższych osób, uczył się zdecydowania, którego zawsze mu brakowało. Wiedział, że musi nabyć się tej cechy, musi być zwyczajnie odważniejszy. Inaczej nie da sobie rady w życiu – i nie da rady obronić Evelyn przed ewentualnym niebezpieczeństwem zdradliwego świata.

Trzeba bowiem przyznać, że jeśli New Reno przy pierwszym zetknięciu wydało się Jonathanowi i Evelyn groźne, to w pierwszej połowie maja stało się naprawdę niebezpieczne. Do miasta zawitał bowiem Gianni Salvatore. Po kilku dniach od swojego przybycia zajął najmniej zniszczony budynek w mieście, tuż przy północnym wjeździe. W ciągu dokładnie dziesięciu dni wyremontował i wysprzątał cały lokal, tworząc w nim odtąd punkt schadzek całej ciemnej strony mieszkańców New Reno. Bar Salvatore w rekordowo krótkim czasie stał się jednym z najbardziej obleganych i popularnych miejsc w tej części świata – i to wcale bez przesady.

Potomek włoskich emigrantów, Salvatore, oficjalnie zajmował się rozrywką. Nieoficjalnie – był zwyczajnym gangsterem, pozbawionym skrupułów i serca. Z miejsca „sprzątnął” sobie tych, którzy byli mu w mieście najbardziej otwarcie przeciwni – ot, choćby pijaka Ashwooda, który jedną niefortunną wypowiedzią wygrał dla siebie śmierć. Pastor Julius nie wypowiadał się głośno na temat Salvatore, bo wiedział, że w ten sposób nie uda mu się z nim zwyciężyć. Zwiększył jedynie swoją działalność, wspierając wszystkich, którzy tylko tego zapragnęli. Ubolewał nad

zwiększającą się z każdym dniem liczbą pijaków i degeneratów, ale jednocześnie cieszył się, że potrafi przemówić do rozumu tym, których jeszcze nałóg nie dotknął. Evelyn pomagała mu jak mogła. Miała po prostu dobre, wrażliwe serce. Jej pomysłem były codzienne spotkania szukających pomocy w świątyni, którą założył pastor Julius. Ludzie spotykali się i rozmawiali o swoich problemach, pocieszali się, starali się szukać dobra w złym świecie. Pastor był temu rad.

Evelyn wiedziała też, że w ten sposób, czyli będąc blisko pastora – blisko ludzi – mogła dowiedzieć się, czy niebezpieczeństwo w postaci brata Jonathana zbliża się, czy na razie nic im nie grozi. Sam Jonathan, mający teraz dość szeroko otwarte okno na świat poprzez liczne transakcje z różnymi karawanami, również trzymał rękę na pulsie. Julius uspokajał ich, że zagrożenia nie ma. Na razie oboje czuli się względnie bezpiecznie.

Taka sytuacja trwała przez kolejne tygodnie. Zbliżał się koniec czerwca. Nadchodziło upalne lato. Evelyn od kilku dni była jakby nieobecna. Unikała dłuższych rozmów z Jonathanem, była nieswoja. On obwinił za to siebie, miał sobie za złe, że zaniedbał ostatnio ukochaną. Nie wiedział jednak o wszystkim.

Pastor Julius również zauważył dość przygnębiający nastrój Evelyn i nie czekał długo z pytaniem. Evelyn oświadczyła mu, że jest w ciąży. Jonathan o tym nie wiedział.

- Nie wiem... nie wiem, co teraz będzie – spojrzała na pastora z oczami pełnymi łez.

Julius przycisnął ją do siebie i rzekł:

- Ja wiem, co będzie. Będzie ogromne szczęście. Musisz się cieszyć, bo dziecko to szczęście największe. Bóg tak was ukochał, że dał wam ten przepiękny dar. Nowe życie. Nie smuć się, Evelyn. I koniecznie powiedz Jonathanowi o wszystkim – on powinien wiedzieć to jako pierwszy.

Evelyn otarła łzy i kiwnęła głową z uśmiechem na ustach. Postanowiła powiedzieć o wszystkim Jonathanowi jeszcze tego samego dnia.

On zaś właśnie kończył pracę. Szedł w kierunku północnego wyjścia z miasta, niosąc w ręku dokumenty dla jednego z klientów. Była sobota, ładne popołudnie. Na resztę dnia dostał wolne, postanowił więc, że w końcu porozmawia z Evelyn.

Był już na wysokości lokalu Salvatore. Spojrzał się z niesmakiem na biało-granatowy szyld tuż nad szeroko otwartymi drzwiami. Odczytał z niego słowa: „Witamy w największym małym kasynie na świecie”. Parsknął kpiącym śmiechem i przyspieszył kroku.

„Im prędzej skończę, tym szybciej znajdę się przy Evelyn”, pomyślał, skręcając w lewo. W oddali widział już grupę ludzi, która stała w kręgu obok gotowych do wymarszu braminów. Po kilku minutach był na miejscu. Członkowie karawany zawzięcie o czymś dyskutowali. Gruby, niski jegomość przeglądał jakieś papiery siedząc na drewnianym stołku. Zauważył Jonathana i zerwał się na nogi. Podbiegł do niego, był spocony, choć najgorszy upał tego dnia już minął.

- Już jestem, panie Mortymore – powiedział Jonathan podał mu dokumenty, które przyniósł. – Oryginał dla pana, kopia dla mnie.

Pan Mortymore wziął dokumenty i zaczął je pospiesznie czytać. Jonathan przyjrzał się pozostałym członkom karawany. Dyskusja była coraz bardziej zażarta. W końcu wysoki blondyn, który przez moment coś żywo tłumaczył, nie wytrzymał i krzyknął do młodej, niskiej dziewczyny:

- Ty chyba nie wiesz, co on mógłby z nami...!

- Spokój! – zagrział pan Mortymore i powrócił do czytania dokumentów. Członkowie karawany na moment ucichli, ale po chwili powrócili do przerwanej rozmowy.

- Widzę, że szykuje się trudna podróż – zagadnął Jonathan.

Pan Mortymore łypnął na niego krótko swymi niewielkimi oczyma.

- A żebyś pan wiedział – odrzekł, nie odrywając wzroku od kartki. Podpisał dokument, kopię schował za pazuchę. – Zbieramy się, jazda! – krzyknął w kierunku ekipy karawany i spojrzał na Jonathana. Podał mu podpisaną umowę. – Cholernie trudna. Mark Thomas jest w New Reno, więc im prędzej się stąd wyniesiemy, tym lepiej. Słyszał pan o nim? Jeśli nie, to nie życzę, żeby pan usłyszał.

Zawinał się i odszedł bez pożegnania, poganiając swych współpracowników. Jonathan stał bez ruchu jeszcze dobrych kilka minut. Serce tłukło się w nim jak oszalałe. „Mark Thomas jest w New Reno... Mark Thomas jest w New Reno...” Te kilka słów jak echem rozbrzmiewały w jego głowie. Nieprzytomny ze strachu obrócił się na piętach i ruszył w kierunku miasta. Nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje. Minął „Bar Salvatore”, odruchowo spojrzał w kierunku wejścia i... po raz kolejny zastygł w bezruchu. Panika zaczynała ogarniać jego umysł.

Przy ladzie siedział jego brat. Poznał go, choć był odwrócony tyłem. Jonathan automatycznie pochylił się, podszedł do wejścia. Spojrzał ukradkiem przez okno do środka lokalu. „Mark Thomas jest w New Reno”. Właśnie pije piwo, słuchając barmana. Kilku podobnych jemu osobników stało tuż za nim. Nagle stojący przy schodach, uzbrojeni mężczyźni, chyba ochrona lokalu, rozstąpili się. Z góry zszedł dumny, opalony mężczyzna o surowych, wręcz niepasujących do łagodnej twarzy, zimnych oczach. Gianni Salvatore. Za nim zbiegł co najwyżej czteroletni chłopiec, trzymając w dłoniach... prawdziwy pistolet. Boss Salvatore podszedł do Marka. Ten odwrócił się, nie wstając z wysokiego barowego krzeselka. Po chwili rozmowy uśmiechnął się i skinął głową. Obaj gangsterzy uścisnęli się jak... jak bracia. Chłopczyk z pistoletem wybiegł na zewnątrz baru, a za nim kobieta, krzycząc:

- Louis! Louis, wracaj natychmiast!...

Jonathan osunął się po ścianie. Po chwili jednak szybko wstał i zaczął biec, ile tylko sił pozostało mu w nogach.

„Boże, pomóż nam... pomóż nam, proszę...”, pomyślał.

Kończył się ostatni tydzień sierpnia. Wcześniej rano Jonathan obudził się i wyszedł z namiotu. Powietrze było dość chłodne i rześkie, horyzont rozjaśniał się powoli wschodzącym słońcem. Minął zgliszcza wczorajszego ogniska i poszedł w stronę dużej płachty, rozciągniętej na ziemi. Podniósł ją lekko i dotknął ręką ziemi. Była wilgotna, a więc nie trzeba podlewać. Podniósł gruby jak jego ręka drag i ustawił pionowo. To samo zrobił na pozostałych rogach płachty, którą znalazł porzuconą podczas wędrówki. Była w dobrym stanie, więc wykorzystywał ją jako ochronę przed palącym słońcem dla kilku grządek warzyw, które posadzili wspólnie z Evelyn. Popatrzył chwilę na swoje uprawy i wzdrygnął się, kiedy chłodny wiatr go owionął. Wszedł z powrotem do namiotu i usiadł na ziemi. Evelyn spała na lekkim łóżku polowym, odwrócona twarzą w stronę wejścia. Jonathan patrzył na nią, uśmiechając się i rozmyślał.

Mijał już szósty tydzień odkąd Bruno Hawke po ich opowieści nie czekając ani chwili wydał polecenie natychmiastowego opuszczenia przez nich jego karawany.

Przerażony tym, czego dowiedział się o Marku Thomasie, panicznie bał się wieść dalej Jonathana i Evelyn i po prostu zostawił ich pośrodku pustkowia.

Decyzja Bruno wywołała burzę w jego ekipie. Nick, Natalie i Mauner przekrzykiwali się z nim, zszokowani taką znieczulicą, stary Jonas zaczął nawet wygrażać i bluźnić, ale na nic się to zdało. Bruno był niewzruszony. Nie spojrzawszy ani razu w stronę Jonathana i Evelyn, wydał rozkaz bezzwłocznego wymarszu. Reszta ekipy jeszcze długo na niego pomstowała, ale nikt nie chciał podzielić losu pary nieszczęśników. Nie zamierzali jednak zostawiać ich z niczym.

Jako pierwszy podszedł do nich traper Mulder, który bez słowa przysłuchiwał się kłótni, i podarował im połowe łóżko, lekkie, składane i wygodne w transporcie, a także małe urządzenie do wykrywania dużego promieniowania. Nie był to typowy licznik Geigera, raczej jego zubożona miniatura. Był jednak sprawny i przydatny. Od Natalie i Maunera dostali podniszczony, ale solidny namiot – równie praktyczny w przenoszeniu jak spanie od trapera – oraz jeden z reflektorów, którymi oświetlali sobie drogę i małe ogniwo do niego, a także zestaw pierwszej pomocy. Jonas natomiast podarował im swoją strzelbę i garść naboji do niej. Jedynie tutaj Bruno odważył się głośno zaprotestować, pozostałe podarunki zbywając coraz głośniejszymi chrząknięciami. Jego stryj bynajmniej nie przejął się tym ani trochę, ze łzami w oczach żegnając się z nimi i przepraszając za krewniaka. Mulder przekazał im kilka praktycznych wskazówek jak przetrwać na pustkowiu już na sam koniec, kiedy karawana stała gotowa do odjazdu. Po chwili ruszyli, zostawiając ich zdanych na pastwę losu i własne umiejętności.

Do rana Jonathan i Evelyn przekoczowali w obozie, który rozbili jeszcze jako członkowie karawany. Tulili się do siebie, patrząc się w gasnący jak ich nadzieja płomień ogniska. Nie wiedzieli, co teraz z nimi będzie – wiedzieli tylko gdzie podążać. Południe było światłem ostoi w czerni tunelu niebezpiecznego pustkowia. W tamtym kierunku udali się z samego rana.

Szli tak przez kilka dni, nocując wedle zasady „góra za tobą” i nie znajdując na razie miejsca na rozbicie obozu, w którym mogliby pomieszkać przez nieco dłuższy okres czasu. Po drodze rozmawiali i doszli do wniosku, że dopóki sytuacja z Markiem nie uspokoi się, będą musieli żyć jak wygnańcy, uciekinierzy, przynajmniej przez kilka tygodni. Jonathan nie tak wyobrażał sobie wspólne życie z Evelyn. Zawsze planował, że da jej dom i spokojne życie, a nie marną egzystencję. Był jednak bezsilny, wzbierała w nim jedynie nienawiść do brata – mordercy i bandyty. Czuł, że gdyby teraz miał się z nim zmierzyć, to na pewno dałby mu radę. Tak wielka była jego niechęć i wstręt do człowieka, z którym spędził większą część życia.

Po tygodniu, którego ostatnie dwa dni polegały na przedzieraniu się przez lasy i pagórkowate tereny, Jonathan i Evelyn dotarli do specyficznego miejsca. Była to swego rodzaju droga, wydeptana i ubita, wokół drzewa rosły pojedynczo, a sam trawers znajdował się jakby lekko ponad poziomem ściółki i rzadkich traw. Doszli do wniosku, że musi być to szlak karawan, prawdopodobnie z zachodu na wschód. Po krótkim postoju postanowili ruszyć dalej w kierunku, który obrali wcześniej, gdy nagle zobaczyli dwie osoby, ciągnące za sobą niewielki wózek. Jak się okazało byli to handlarze, wędrujący szlakiem z Hub do Vault City, a więc szli z południa. Jonathan domyślił się, że kierunek ich podróży, wijący się między pagórkami, musiał zostać naturalnie zmieniony. Wypyтали się handlarzy o wieści ze świata, ci jednak nie uraczyli ich jakimiś szczególnie istotnymi informacjami. O bandytach grasujących w okolicach New Reno i na północy opowiadali to, czego Jonathan i Evelyn sami mogli się

domyśleć – było ich wielu i wciąż przybywało. Kupcy nie wymienili nazwiska Marka, co w pewnym sensie ich uspokoiło. Uzpełnili zapasy pożywienia, zakupili również nasiona warzyw i ruszyli na południe. Evelyn była już jednak tak zmęczona, że Jonathan, mając na uwadze jej stan, postanowił zatrzymać się w okolicy szlaku.

Rozbili obóz jakieś pół mili od drogi, u stóp dość wysokiego pagórka. Rzadkie drzewa stanowiły teraz swoisty wystrój ich domostwa. Na ich szczęście niedaleko płynął strumyk, dzięki któremu mieli stały dostęp do wody. Nie była skażona w nadmierny sposób, co sprawdzili urządzeniem, otrzymanym od Muldera. Z pagórka zaś mieli całkiem niezły widok na drogę karawan, jednak ilekroć udawali się tam, to jeszcze nigdy nie zauważyli idącej czy stojącej kolumny ludzi, przyczep i braminów. Domyślali się, że grabieże wciąż muszą trwać i karawaniarze nie wybierają utartych szlaków do wędrowek.

Tak mijały kolejne dni. Zaczął się wrzesień. Noce były coraz chłodniejsze, choć za dnia było jeszcze momentami upalnie. Jonathan i Evelyn prowadzili na tyle godne życie, na ile pozwalała im ich sytuacja. Cieszyli się sobą, nie myśleli o tych złych chwilach, które dane im było przeżyć. Jonathan wiele razy przytulał się do brzucha Evelyn i rozmawiał z dzieciaczką, które dojrzewało w jego ukochanej. Dla dziewczyny były to najszcześniejsze momenty, pełnymi radości i miłości oczyma spoglądała na swego narzeczonego i słuchała na przykład takiego monologu:

- A kiedy się to już skończy i przyjdiesz na świat, zamieszkamy na obrzeżach jakiegoś miasta – ale nie będzie to New Reno – i będziemy szczęśliwą rodziną. Będziemy mieli piękną krowę, która będzie ci codziennie dawała mleko i wyrośniesz silny, i będziesz mądry jak tatuś i śliczny jak mamusia. Zobaczysz, że tak będzie – ja to wiem...

Byli szczęśliwi.

Dwunastego września Jonathan wstał prędej i poszedł łączyć bukiet stokrotek, które rosły na otwartym zbocz pagórka. Tego dnia były urodziny Evelyn. Będąc tam odruchowo spojrzał w stronę szlaku i chyba zdawało mu się, że kogoś widział – jakby ktoś ukrywał się przed jego wzrokiem. Ale po co miałby to robić? Jeszcze chwilę popatrzył w stronę miejsca, w którym mignęła mu jakaś postać, ale doszedł do wniosku, że raczej był to zwid. Wrócił do Evelyn, którą obudził kwiatami i spędził z nią resztę przepięknego, słonecznego dnia.

Tej nocy obudził go jakiś trzask. Przez chwilę z na wpół zamkniętymi oczami przysłuchiwał się, czy się to powtórzy. Pomyślał, że może być to jakieś zwierzę, które wyczuło obecność ludzi i cicho skrada się w poszukiwaniu pożywienia. Po chwili odgłos powtórzył się, jednak tym razem wyraźnie usłyszał szorstki szept:

- Billy, idioto, przestań hałasować!

Po tym całkowicie się rozbudził. Był pewien, że powiedziała to kobieta. Najciszej jak potrafił zszedł z łóżka i schylił się pod nie. Wyciągnął strzelbę i na palcach podszedł do wejścia namiotu. Odgłosy dochodziły z lewej strony. Ktoś przeszukiwał ich obóz. Jonathan zastygł w bezruchu, nasłuchując. Po chwili usłyszał damski głos, równie szorstki jak szept, który dobiegł jego uszu poprzednio – na pewno była to ta sama kobieta:

- Nic tu nie ma, jeżeli ktoś tu jest, to tylko w tym namiocie.

- Wchodzimy? – odezwała się inna kobieta; głos miała dużo łagodniejszy, jednak nie pozbawiony dziwnego akcentu, który przypominał trochę ten z jakim spotykali się w New Reno wśród bezdomnych.

- Tak, Martho – odrzekła kobieta o szorstkim głosie. – Billy... zostaw tego kija, durniu, i chodźże tutaj...

- A jeśli są uzbrojeni? – zapytała się kobieta, nazwana Martha.

- Koczownicy?! – prychnęła kobieta o szorstkim głosie. – Co najwyżej w dzidy...

Mężczyzna zaśmiał się głupkowato, ale najwyraźniej dostał w głowę, bo natychmiast przestał chichotać.

- Wchodzimy – rzekła kobieta o szorstkim głosie.

Jonathan nie czekał dłużej. Rozwarł szeroko wejście do namiotu i krzyknął:

- Ręce do góry!

Obie kobiety wrzasnęły i cofnęły się. Mężczyzna o głupim wyrazie twarzy potknął się o leżący na ziemi kij i upadł. Po chwili wstał i skrył się za starszą kobietą z okropną blizną na twarzy. Była tam też młoda dziewczyna. Cała trójka wyglądała na zwykłych wieśniaków.

Jonathan nie wyszedł z namiotu. Wystawił jedynie lufę strzelby na zewnątrz, oświetloną światłem księżyca. Wzdrygnął się trochę, kiedy poczuł Evelyn tuż za swoimi plecami.

- Mów dalej – szepnęła mu do ucha. – Jestem za tobą.

- Wynoście się stąd – powiedział Jonathan, podniesionym głosem. – Bo jak nie to... was wszystkich... zastrzelę!...

Kobieta z blizną patrzyła się uważnie w stronę wejścia do namiotu. Po chwili sięgnęła za pasek i wyciągnęła nóż.

- Ta? – odezwała się kpiąco swoim szorstkim głosem. – A nas jest troje, a ty jesteś sam... I co ty na to?

Zrobiła krok w stronę namiotu.

- Barbra, on ma broń! – krzyknęła Martha, ona jednak sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo ją to obchodziło. Zrobiła kolejny krok. Jonathan patrzył się na nią uważnie, była jakieś sześć metrów od namiotu.

- Chodź, Billy – powiedziała Barbra. – Nie bój się, koczownicy nie potrafią zabijać...

Billy stojący obok Marthy wykonał ruch, jakby chciał ruszyć w kierunku Barbry, ale wyraźnie obawiał się wystającej z ciemności namiotu lufy.

Po kolejnym ruchu Barbry Jonathan zdecydował się interweniować.

- Jeszcze jeden krok, a nie będę miał skrupułów – powiedział, jednak nie brzmiało to zbyt pewnie.

- Jasne, jasne... – odrzekła Barbra i znów o krok zbliżyła się w ich stronę.

Jonathan wycelował w niebo i pociągnął za spust. Ostry trzask oznajmił mu, że broń nie jest załadowana. Poczuł jak krew odpływa mu z twarzy.

Barbra zaczęła się śmiać, Billy jej zawtórował i podszedł do niej. Jonathan poczuł jak ręka Evelyn, w której tkwił pistolet, wysuwa mu się spomiędzy torsu i ramienia.

- Widzisz, Billy – powiedział Barbra triumfalnie. – Nie ma zagrożenia. Wyciągaj broń...

Billy sięgnął do kostki i po chwili w jego dłoni błysnął nóż. Jonathan usłyszał w uchu szepot Evelyn:

- Wyceluj w niego.

Tak zrobił. Evelyn wystrzeliła. Billy wrzasnął z bólu i upadł na ziemię, trzymając się za udo. Martha krzyknęła i natychmiast się przy nim znalazła. Barbra była wyraźnie zaskoczona, a w jej oczach zagościł strach. Nie spuszczała wzroku z namiotu.

- Och, Billy – lamentowała Martha. – Masz te swoje pomysły!... – ryknęła w stronę Barbry.

Jonathan poczuł jak Evelyn staje tuż obok jego prawego boku.

- Skąd wiesz, że jestem sam, co?! – krzyknął do Barbry. – Albo, że nie umiem do ciebie strzelić?!

- Barbra, wynośmy się stąd!!! – wrzasnęła Martha. Barbra spojrzała się na nią i podeszła do Billy'ego ze wzrokiem utkwionym w miejscu, w którym stali Jonathan i Evelyn. W końcu odpuściła i pomogła wstać mężczyźnie. Jonathan odetchnął, kiedy obrócili się i zaczęli podążać w stronę szlaku. Nagle Barbra odwróciła się i rzuciła czymś w jego kierunku. Rozległ się strzał. Jonathan zobaczył jak Evelyn upada. Musiała odruchowo pociągnąć za spust. Odrzucił strzelbę i schylił się do niej. Było ciemno, szybko wstał i uderzył pięścią w reflektor. W świetle zobaczył zakrwawiony nóż obok Evelyn, która siedziała na ziemi i trzymała się za prawą łydkę. Spomiędzy jej palców sączyła się krew. Jonathan błyskawicznie zaczął czegoś szukać po namiocie. Po chwili znalazł brązowy worek. Wyciągnął z niego podręczną apteczkę i butelkę z przezroczystym płynem. Odkręcił korek i powiedział:

- Będzie bolało...

Evelyn chwyciła obiema rękoma jego ramienia, a on oblał ranę płynem z butelki. Dopiero teraz dziewczyna pozwoliła sobie krzyknąć z bólu, z całej siły ściskając ramię narzeczonego. Jonathan obmył rozcięcie i zabandażował jej nogę. Przeniósł Evelyn na łóżko. Po kilkunastu minutach uporowała się z bólem. Spojrzała na niego wyczerpana i powiedziała cicho:

- Dziękuję... mój bohaterze...

Jonathan uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. Po chwili Evelyn usnęła. Jonny wstał i spojrzał na leżący na ziemi nóż i plamę krwi. Zawinał broń w szmatę i zostawił na ziemi, a plamę krwi Evelyn zasypał rozgarniętym gruntem. Podniósł strzelbę i spojrzał się na nią. Podeszedł do łóżka i sięgnął pod nie. Wyciągnął z sakiewki dwa naboje, załadował strzelbę i odłożył ją obok postania. Odtąd już zawsze miał ją naładowaną.

Przez najbliższe dni Evelyn praktycznie nie wstawiała z łóżka. Próbowwała dojść do siebie, ale z jej nogą nie było najlepiej. Cięcie było głębokie, rana nie była do końca oczyszczona i w końcu było jasne, że wdało się zakażenie. Jonathan starał się nie panikować, ale nie bardzo mu to wychodziło. Zupełnie nie wiedział, co zrobić, choć robił, co mógł, żeby Evelyn cierpiała jak najmniej. Kiedy jednak po pięciu dniach dziewczyna dostała bardzo silnej gorączki, zdecydował, że potrzebna jest jej fachowa pomoc – muszą ruszyć i znaleźć lekarza. Evelyn przystała na to bez słowa – przede wszystkim dlatego, że sama nie mogła znieść już pulsującego bólu i całkowitej bezczynności. Razem zwinęli obóz, zapakowali się jakoś – Jonathan, rzecz jasna, dźwigał większość bagażu – i ruszyli w stronę szlaku.

Tego dnia niebo było zachmurzone i wiał lekki, chłodny wiatr. Warunki do marszu były dobre, ale noga Evelyn coraz bardziej jej dokuczała, zwłaszcza, że teraz obciążała ją chodem. Co kilkanaście minut musieli robić sobie przerwę. Wieczór przyszedł bardzo szybko. Oboje wyczerpani usytuowali się tuż obok marszruty. Noc była niespokojna, Evelyn zmagiła się z bólem i z gorączką, a Jonathan, pocieszając ją i ocierając czoło wilgotną szmatką, czuwał nie śpiąc prawie w ogóle. Okolica była o wiele mniej przyjemna niż ta, którą zostawili. Miał, jak to zwykle bywa, nieodparte wrażenie, że są obserwowani – wbrew rozsądkowi, bo kogóż mogli tutaj spotkać...

Następnego dnia ruszyli dalej. Jonathan odciążył Evelyn ze wszystkich, nawet tych najłżejszych, pakunków. Tego dnia czuła się ona znacznie lepiej i pierwszą

rundę marszu zakończyli wczesnym popołudniem. Do wieczora udało im się ujść już znaczny kawałek drogi. Im dalej na południe, tym i krajobraz zaczął się zmieniać – sprzed ich oczu znikaly wzgórza, pojawiał się równinny step, prawdziwe pustkowie. Poza tymi widokami ujrzeli także ślady wędrówek dawnych karawan – porzucone przyczepy nienadające się już do użytku, rozrzucone odpady, liczne paleniska.

Obóz rozbili pod ostatnim pagórkiem, jaki mieli okazję oglądać, w rzadkim lesie, tuż obok szlaku. Jonathan jakiś czas obserwował Evelyn, która po długim dniu spała spokojnie, wręcz zdrowiejąc w oczach. Zmęczony w końcu również usnął.

Okropny smród uderzył go w nozdrza. Pozwolił sobie ledwie na sekundę nieprzytomnego myślenia, otworzył szeroko oczy i wziął do ręki strzelbę, którą wieczorem położył tuż obok siebie. Nasłuchując, wpatrywał się w szaro-stalowe niebo, jaśniejące na wschodzie – musiało być bardzo wcześnie. Evelyn spała, miarowo oddychając.

Odrażający zapach nasilał się. Jonathan podniósł się, siadając na ziemi. Próbował znaleźć źródło fetoru, jednak zdawało się jakby wypełniał on całe powietrze wokoło. Nagle usłyszał coś z lewej strony – jakiś bardzo dziwny dźwięk przypominający... świński kwik.

„Co jest?...”, pomyślał i wstał z ziemi. Podniósł lufę, celując gdzieś między drzewa, skąd dobiegł go ów dziwaczny odgłos. Po chwili kwik ponownie dobiegł jego uszu, był jednak wymieszany z chrzęstem ściółki. Coś przedzierało się w jego stronę. Nagle zza niskich krzaków wyszło jakieś stworzenie. Na pierwszy rzut oka przypominało zwyczajną świnię, jednak miało szczurzy pysk i odstające uszy. Zwierzę chwilę popatrzyło na Jonathana i niespodziewanie ruszyło na niego z dzikim kwiczeniem. Jonathan nie myśląc wiele pociągnął za spust. Świnia dostała prosto w pysk, siła odrzutu trzepnęła nią o drzewo nieopodal. Evelyn obudziła się z krzykiem i momentalnie wstała. Oddychała bardzo szybko, patrząc się na Jonathana i zabite zwierzę.

- Co się dzieje? – zapytała drżącym głosem.

- Przepraszam, powinienem być cię obudzić – odrzekł Jonathan, nie spuszczać wzroku z martwego stworzenia. – To... to coś rzuciło się na mnie. Nie mogłem pozwolić, żeby stała ci się...

Przerwał mu znajomy odgłos kwiku, wydanego tym razem przez przynajmniej dwadzieścia takich zwierząt. Nie czekając, co wyjdzie zza krzaków, Jonathan obrócił się i krzyknął:

- Evelyn, uciekamy!

Dziewczynie nie trzeba było powtarzać. Sięgnęła po coś, co leżało przy jej spaniu i złapała chłopaka za rękę, jednak nie mogła biec – ból nogi powrócił. Jonathan chwycił ją na ręce i podbiegł do grubego, niskiego drzewa kilkanaście stóp od ich obozu. Było pogiete i o dziwnym kształcie, ale można było się na nie wspiąć.

- Evelyn, dasz radę wejść na nie?

Kiwnęła głową. Jonathan podsadził ją. Oparła ciężar ciała na zdrowej nodze i podciągnęła się w górę, siadając na grubej gałęzi.

- Jeszcze wyżej! – krzyknął Jonathan. Evelyn złapała się gałęzi, ale nie weszła na kolejną.

- Uważaj!!! – krzyknęła, wskazując ręką.

W kierunku Jonathana bieгло kilkanaście świni-szczurów. Podniósł dubeltówkę i wystrzelił. Dwa szczury padły, a kolejne dwa stanęły, ciężko zranione. Evelyn wyciągnęła zza paska pistolet, dobiła ranne i zastrzeliła następne trzy. Brakło jej amunicji. Pozostałe szczury zatrzymały się, bojąc się podejść bliżej. Jonathan podał

strzelbę Evelyn i zaczął wdrapywać się na drzewo. Po chwili siedział już na gałęzi, Evelyn w międzyczasie załadowała dwururkę.

Małe szczury-świnie zaczęły kwiczeć jeszcze głośniejsze. Jonathanowi wydawało się, że brzmiało to jak nawoływanie. Jego przypuszczenia okazały się słuszne. Po chwili zza drzew wyłoniło się znacznie więcej stworzeń, niż zaatakowało Evelyn i jego na początku. Dodatkowo towarzyszyły im jeszcze zwykłe, pospolite, szare szczury. Odór był nie do zniesienia. Jonathan wziął strzelbę od dziewczyny.

- Zobacz, co one robią... – powiedziała nagle Evelyn z obrzydzeniem, wskazując palcem.

Jonathan spojrzął i zobaczył jak szczury i świnio-szczury zaczęły pożerać zwłoki zabitych towarzyszy. Wyglądało to odrażająco. Za to przerażająco zaczęły zachowywać się inne, stając w rzędzie kilka metrów od drzewa, na którym siedzieli Jonathan i Evelyn. Podniosły pyski i zaczęły wydobywać się z siebie przedziwne ohydne warknięcia. Chwile później Jonny i Eve odkryli, do czego zmierzają.

Zza drzew wyłoniły się trzy ogromne niedźwiedzie. Były wielkie, w kłębie wysokości dorosłego człowieka, i również miały szczurze pyski i długie ogony. Mniejsze szczury rozstały się, tworząc dla nich przejście. Jonathan spojrzął na Evelyn z przerażeniem – była blada, lewą ręką obejmowała pień drzewa i kiwała z niedowierzaniem głową.

- Nie, to nie może być prawda... to nie dzieje się naprawdę – powtarzała cicho.

Trzy niedźwiedzio-szczury ustawiły się obok siebie jakieś osiem metrów od drzewa. Jonathan podniósł strzelbę i wycelował w tego, który wydawał mu się największy. Pociągnął za spust. Niedźwiedź dostał w podgardle i zawył przeraźliwie. Jonathan strzelił jeszcze raz, tym razem prosto w łeb potwora. Zwierzę zachwiało się i padło martwe na ziemię. Po tym oba żywe niedźwiedzie uniosły się na tylnych łapach, przednie podniosły w górę i zaczęły ryczeć. Reszta im zawtórowała. Po chwili ruszyły w kierunku drzewa Jonathana i Evelyn.

- Trzymaj się!!! – krzyknął Jonny.

Niedźwiedzie z ogromną siłą uderzyły w drzewo, które aż się zachwiało. Evelyn krzyknęła i wypuściła z ręki pistolet. Jonathan chwycił lewą ręką gałęzi ponad nim, bo ta, na której stał zaczęła się łamać. Po kolejnym uderzeniu jednego z niedźwiedzi strzelba o mało nie podzieliła losu broni Evelyn. Złapał ją za lufę w ostatniej chwili.

- Evelyn, naboje!... – krzyknął.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni sakiewkę z amunicją. Nie zdążyła jednak nawet do niej sięgnąć, bo po kolejnym uderzeniu niedźwiedzi naboje spadły na ziemię. Krzyknęła z rozpaczą. Jonathan nie poddawał się. Zamachnął się i z całej siły trzepnął jedno ze zwierząt w łeb. Niedźwiedź zawył z bólu, ale nie chciał odpuścić. Jonathan uderzył jeszcze raz, trafiając prosto w pysk. Zwierzę zaskomlało i zrezygnowało. Drugi z niedźwiedzi nadal próbował strząsnąć ich z drzewa. W pewnym momencie uderzył w nie tak silnie, że gałąź Jonathana złamała się kilka cali od pnia. Żeby nie spaść, chłopak wypuścił strzelbę z rąk i złapał się obiema rękoma gałęzi nad nim. Objął ramieniem pień i przywarł do niego. Spojrzął na Evelyn. Płakała. Czuł, że długo tak nie wytrzymają, ale nie chciał dopuścić do siebie myśli, że to już koniec. Spojrzął jej w oczy.

- Wszystko będzie dobrze, Evelyn – wyszeptał, ale wiedział, że, mimo zgiełku, dziewczyna go słyszy. – Wszystko będzie dobrze...

Niedźwiedź uderzył po raz kolejny z ogromną siłą.

- Wszystko będzie...

Nie dokończył. Seria z karabinu maszynowego rozpruła szczurzy tumult. Oboje rozejrzeli się. Od strony szlaku wpadło do lasu wpadło kilku ludzi, którzy krzycząc

zaczęli strzelać do zaskoczonych zwierząt. Szczury stały przez moment w szoku, pozwalając, by kule trafiały w nie jak w nieruchome tarcze.

- Są dwa mole! – krzyknął ktoś nagle. – Dan, dawaj w nich!

Kolejna seria dosłownie rozpruła jednego z niedźwiedzi. Evelyn krzyknęła.

- Są tam! Uwaga na tamto drzewo! – zagrział ten sam donośny głos.

Przez kilka chwil panował ogromny huk, w końcu strzały stały się coraz rzadsze. Wschodzące słońce ukazało Jonathanowi i Evelyn odrażający widok – szczątki pozabijanych szcurów walały się dosłownie wszędzie, ściółka tonęła w morzu krwi, porozrywane łapy i łby obryzgały pobliskie drzewa. Smród był przeokropny.

- Pomóżcie nam! – krzyknęła Evelyn w stronę przybyszów z bronią w ręku. Przedzierali się oni przez resztki szcurów w stronę drzewa, na którym siedziała z Jonathanem. Było ich ośmiu. Wyglądali podobnie, ubrani w skórzane stroje. Jeden z nich różnił się nieco – był wysoki, miał na sobie czarną kurtkę i uśmiechał się. Spojrzał się na nich i wsparł jedną ręką o bok.

- Możecie mi powiedzieć, co wy tu do cholery robicie? – zapytał wesoło. – Połamane drzewo i setka szcurów. To jakaś nowa forma rekreacji?

Pozostali roześmiali się. Nawet u Evelyn pojawił się uśmiech na twarzy. Jonathanowi jednak wcale nie było do śmiechu.

- Proszę, pomóżcie nam – powiedział słabym głosem. – Moja żona jest ranna...

- Okej, okej – odrzekł nieznajomy, patrząc na nich i uśmiechając się. – Chłopaki, zdejmijcie tych robinsonów – kilku przybyszów podeszło, by pomóc zejść Evelyn.

Nagle jeden ze zwykłych szcurów, który jakoś przeżył pożogę zgotowaną przez Jacka i jego ludzi, zakwilił i ruszył w jego kierunku. Wszyscy na moment zamarli, a Jack, zanim ktokolwiek się zorientował, zamachnął się i kolbą strzelby bojowej, którą trzymał w dłoni, roztrzaskał szcurovi głowę.

- Cholerne, małe gówna – powiedział z niesmakiem. – Są dosłownie wszędzie. A tak swoją drogą, jestem Jack – podał rękę Evelyn.

- Evelyn – odrzekła z uśmiechem. Jonny stanął obok niej.

- Jonathan Thomas – powiedział, wyciągając rękę ku Jackowi.

Ten jednak nie ucisnął jej od razu.

- Zakładam, że nie masz nic wspólnego z innym Thomasem? Tym, którego zwie się „Północnym Bandytą”? – zapytał podejrzliwie i już bez uśmiechu.

Jonathanowi zrobiło się gorąco, ale już wiedział, co odpowiedzieć:

- Nie, oczywiście, że nie. Nie jesteś pierwszym, który o to pyta.

Jackowi na nowo pojawił się uśmiech na twarzy.

- Okej, to mi wystarczy – odrzekł. – No, więc powiecie nam, co tu do diabła robiliście? Agroturystyka? Czy wakacje na łonie natury?

Jonathan nie zdążył odpowiedzieć, zgłuszony salwą śmiechu.

- Dobra, nie będę was męczył – powiedział Jack, śmiejąc się. – Chodźcie do naszej karawany, stoimy niedaleko. Usłyszeliśmy jakieś krzyki, więc postanowiliśmy zainterweniować. To jest mój przyjaciel Dan – wskazał na rosteo blondyna – a to strażnicy. Dasz radę? – zapytał Evelyn. Skinęła głową.

- Moglibyście mi pomóc z bagażem? – zapytał Jonathan. Po chwili kilku strażników już niosło ich dobytek.

Po minucie znaleźli się na szlaku. Marsz trwał dosłownie pół kwadransa, gdy dotarli do karawany Jacka. Była znacznie większa od tej, z której Jonathan i Evelyn zostali niedawno wyrzuceni. Usadowił ich on na pierwszej przyczepie, tuż za solidnym braminem. Sam wskoczył na grzbiet innego.

- Odpocznijcie trochę – powiedział do nich. – Mamy tu lekarza, zaraz go poproszę, by udzielił ci pomocy. Ale później nie dam wam spokoju – dodał z

uśmiechem. – Musicie nam wszystko opowiedzieć. Może sam zacznę się zastanawiać nad takim spędzaniem wakacji... Jedziemy!

Karawana ruszyła. Jonathanowi wydawało się, że jechali znacznie szybciej niż to miało miejsce w przypadku szyku Bruno. Evelyn po długiej nocy usnęła, otrzymując wcześniej fachową pomoc medyczną od lekarza, Razlo. Wędrował on z karawaną na południe do miasta Hub, gdzie czekała już na niego jego żona. Był jeszcze młodszy niż Evelyn i Jonathan, ale jego wiedza była naprawdę duża.

Jonathan natomiast nie był ranny, ale czuł, że potrzebuje pomocy. Z innego powodu – z powodu swojego brata. Jak daleko się posunął, że ludzie zaczęli mówić o nim posługując się pseudonimem? Czy był aż tak okrutny? Tak bezwzględny? Jonathan zwyczajnie nie mógł uwierzyć, że ktoś, z kim spędził ponad połowę życia i kogo wydawało mu się, że go zna, stał się kimś tak obdartym z ludzkich uczuć. I znów przypomniał mu się ojciec – bezwładnie spadający na fotel, pozbawiony życia, tracący oddech. I on – stojący nad nim, spoglądający z pogardą i wyrazem zwycięstwa na twarzy. Nienawiść zapłonęła w Jonathanie.

Było już późne popołudnie, słońce powoli chowało się za horyzont. Evelyn przebudziła się. Zaczęli po cichu rozmawiać z Jonathanem. Widząc to Jack podjechał do nich na swoim braminie.

- I jak? – zapytał, uśmiechając się dobrotliwie. – Wszystko w porządku?

Evelyn uśmiechnęła się, a Jonathan odpowiedział:

- Tak, dziękujemy. Nie wiem, jak ci się odwdzięczymy.

- Daj spokój – Jack machnął ręką. – Jak to mówił mój dziadunio – przeżyjcie. Jest w tym dużo prawdy... Oj, tak...

Zamyślił się na chwilę i po chwili dodał:

- No to opowiadajcie – w jaki sposób znaleźliście się w tym cholernym lesie.

Jonathan i Evelyn opowiedzieli mu całą swoją historię, unikając jednak jakichkolwiek szczegółów na temat śmierci ojca i nie podając żadnych nazwisk. Poszło im to całkiem zgrabnie. Jack był poruszony.

- No cóż, przykro mi z powodu śmierci ojca – powiedział. – Ja też nie mam rodziców, od bardzo dawna. Wychowywał mnie dziadek, ale i on już odszedł. W każdym razie wy mieliście naprawdę sporo szczęścia z tymi szczurami.

- Więc to były po prostu szczury? – zapytała Evelyn.

- To były mutacje szczurów – odpowiedział Dan, który jechał obok Jacka i przysłuchiwał się rozmowie. – Po Wielkiej Wojnie promieniowanie było tak ogromne, że wiele zwierząt po prostu zzieleniało i połączyło się z innymi.

- Albo urosło – dodał Jack. – Jak na przykład wielkie skorpiony.

- Ale to było gniazdo, co szefie? – powiedział Dan z uśmiechem. – Takiego już dawno nie widziałem.

- Racja – odrzekł Jack. – Trzy mole, chyba z pięćdziesiąt świń, a tych małych gówien to już nawet nie liczę. Parszywe cholerstwo...

Jack i Dan zaczęli rozmawiać ze sobą. Jonathan nachylił się do Evelyn i szepnął:

- Zapytać o...?

Evelyn kiwnęła głową. Jonathan wziął głęboki oddech i powiedział:

- Jack, mógłbyś mi odpowiedzieć na pytanie?

- Wal śmiało.

- Słuchaj, tam w lesie zapytałeś mnie, czy mam coś wspólnego z kimś, kogo nazwałeś „Północnym bandytą”. Możesz mi powiedzieć, kto to jest?

Jack spoważniał.

- To kawał wielkiego, parszywego gnoja – odrzekł. – Nazywa się Mark Thomas, dlatego spytałem się czy nic cię z nim nie łączy. To chyba najgorszy bandyta w powojennej historii. Okrutny do granic możliwości, bezwzględny jak dzikie zwierzę. On nie napada – on dosłownie poluje na karawany. Życzyć komuś, by spotkał się z nim, to najgorsze z możliwych życzeń. Ja miałem nieprzyjemność spotkać go tylko raz. No, w zasadzie dwa razy, ale nie zapomnę tego pierwszego...

Jonathan i Evelyn wstrzymali oddechy. Dan spoglądał uważnie na Jacka. Wszyscy wsłuchiwali się w to, co mówi.

- Zaczął napadać już jakiś czas temu. Na początek obrał sobie za cel trasę z Redding do Vault City, ale większe łupy zgarniał bardziej na północ – z Vault City do Den. To było niecały rok temu. Nie miałem jeszcze swojej karawany, byłem strażnikiem w szyku. To była typowa wędrówka, rutynowa robota. Wtedy to się stało. Napadł na nas z tą swoją bandą degeneratów. Na początek odstrzelił głowę jednemu strażnikowi. Morgan, przywódca karawany, nie chciał się jednak poddać. Więc zabił następnych dwóch i ostrzegł, że nie zawaha się zastrzelić ani kobiet, ani dzieci. Morgan nie miał wyjścia. Na koniec zginął i on...

Jack westchnął.

- Byliśmy przyjaciółmi, dlatego tak trudno mi o tym opowiadać. Przejąłem więc karawanę i jakoś dotarliśmy do Den. Od tej pory nie spotkałem go już na szlaku. Może dlatego, że wybieram mało znane trasy. No, ta akurat karawana jest wyjątkiem, bo Dan spieszy się do kobiety – uśmiechnął się.

- Ja? Do kobiety? – zapytał ze zdziwieniem.

- Miałem na myśli – spieszy się, żeby znaleźć kobietę – odrzekł z powagą, ale po chwili roześmiał się.

Dan klepnął go w łopatkę. Jonathan i Evelyn byli wstrząśnięci, ale nie dopytywali, czekali aż Jack sam zacznie kontynuować.

- Tak to było – powiedział po chwili. – Thomas ograbił nas wtedy praktycznie do samych gaci. Do tej pory dziękuję Bogu, że żyję. W naszym karawaniarskim świecie krąży o nim wiele opowieści. Jak choćby to, że, jeśli przywódca karawany nie poddaje się, strzela kolejno do dwóch, następnie do trzech, czterech strażników... Później zabija cywilów. Podobno jedną z karawan wybił do ostatniego członka. Czasem, aż... brakuje słów... – znów wzruszenie odebrało u mowę. – Słyszałem, że teraz przeniósł się w okolice New Reno. Stał się człowiekiem tego Włocha... czekaj, Dan, jak on się nazywa?

Strażnik zmarszczył brwi i powiedział po chwili:

- Już wiem, Salvatore.

- Ach, tak – odrzekł Jack. – Gianni Salvatore. Chciałoby się powiedzieć – trafił swój na swego... Wiecie, co kazał zrobić z tamtejszym księdzem? Wbił go na pal.

- Pastor Julius... – Evelyn zbladła.

- Znaliście go? – zapytał Jack.

- Tak – powiedział Jonathan. – Pomógł nam, kiedy tam dotarliśmy.

Jack rozłożył ręce.

- Takie właśnie gnoje chodzą w tej chwili po ziemi – rzekł i pokręcił głową. – Thomas nieźle się tam obławia. Nie dość, że wciąż napada na karawany, to jeszcze zgarnia gażę za robotę dla Salvatore.

- Szefie, czujesz, co by to było, gdyby Slavatore i Decker połączyli siły? – zapytał Dan.

Jack spojrział się na niego z trwogą.

- Nic mi nie mów – powiedział. – Aż boje się pomyśleć... Ale na szczęście to niemożliwe.

- Kim jest ten Decker? – zapytała Evelyn.

- To chyba jakiś były żołnierz – odrzekł Jack. – Rezyduje w Hub, zajął sobie taką przyjemną knajpkę i stamtąd pociąga za sznureczki. Też ma pomocnika, Kane'a, kawał cholernego gnoja i oszusta – Jack aż się skrzywił. – Jego koleś od czarnej roboty. Jedno, co dobre, że Deckerowi naprawdę trzeba się narazić. Unieszkodliwia zwykle zamożnych ludzi, którzy nie chcą mu się podporządkować.

- To prawda – dodał Dan. – Poza tym – sama klasa. Zawsze elegancki ubiór, opanowany głos, spokojna twarz. A kiedy już kogoś usunie, zapala cygaro, bierze wypija szklaneczkę whiskey i kwituje: „Miło jest z tobą prowadzić ineteresy.”

Jack uśmiechnął się krzywo. Przez moment jechali w ciszy.

- Szefie, a pamiętasz, co się działo w Redding w marcu? – powiedział nagle Dan.

- No właśnie – odrzekł Jack. – A wy o tym słyszeliście? Thomas był tam mniej więcej w tym czasie, co wy wyjechaliście.

Jonathan poczuł jak pocał mu się ręce.

- Nie – odpowiedział cicho. – To musiało stać się później...

- No, stary, to mieliście dużo szczęścia – powiedział. – Byliśmy tam akurat z karawaną. Wyobraźcie sobie jesteśmy w knajpie i sączymy browary, a tu nagle na ulicy hałas nie z tej ziemi. Coś świętują, myślę sobie, więc wychodzimy, żeby zobaczyć. Patrzymy, a tu prowadzą skutego Thomasa! Ha! Thomas ujęty! Nie mogliśmy w to uwierzyć! Chcieli go tam zlinczować, bo z tego, co zrozumieliśmy zamordował właściciela kopalni złota. Ale tamtejszy szeryf nie zgodził się i zamknął go w pace...

- A pamiętasz jaką miał minę? – przerwał mu Dan.

- Jak mógłbym zapomnieć – Jack pokręcił głową. – Kamienne oblicze, wyprostowany, dumny. Jakby to, że pójdzie siedzieć nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Gdy go już wprowadzali do kicia powiedział tylko: „Powtarzam, puśćcie mnie teraz, a nikomu nie stanie się krzywda. Interesuje mnie tylko jedna osoba”. Słyszałem, że chodziło mu wtedy o jego brata. No, nie zazdrozczę mu...

Jonathan chwycił Evelyn mocno za rękę.

- Właściciel kopalni był podobno jego ojcem – kontynuował Jack. – Ale czy w to wierzyć? Chyba raczej nie. Dwa dni później, w przeddzień naszego wyjazdu, wtedy rozpętało się tam prawdziwe piekło. Odpoczywamy sobie spokojnie i nagle... jak nie wałnęło! Wybiegliśmy z namiotów, patrzymy, a połowy posterunku dosłownie nie ma! Zgraja Thomasa przybyła mu na ratunek i po prostu wysadzili całą północną ścianę więzienia! Thomas od razu ruszył w kierunku kopalni, ale z tego, co słyszałem nie znalazł tam tego, kogo szukał. No więc oberwał drugi właściciel interesu...

- Pan LeBarge... – szepnął Jonathan.

- Chyba właśnie tak się nazywał – odrzekł Jack. – Nie zginął, ale chodzić już nie może.

- Ktoś jeszcze został poszkodowany? – zapytała Evelyn ze strachem. Jonathan wie, że pomyślała o matce.

- Zginął szeryf i paru strażników, których wynajął do pilnowania Thomasa – odpowiedział Jack.

- A czy ktoś z cywili?

- Nie.

Evelyn odetchnęła.

- No a Thomas tak się wściekł, że wysadził w powietrze jeszcze jeden budynek – powiedział Dan.

- Prawda – potwierdził Jack. – Dom tego właściciela, którego wcześniej zamordował.

- Co się stało z wami? – zapytał Jonathan, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszał.

- Cóż, trochę wstyd się przyznać, ale daliśmy nogę – odpowiedział zakłopotany Jack. – Ale zrozumcie nas – z kimś takim naprawdę NIE WARTO przebywać dłużej w jednym miejscu. Nie mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby skończyć jak Morgan, czy później Bruno Hawke.

Evelyn zadrżała. Jonathan przełknął ślinę i zapytał:

- A kim on jest?

- Raczej był – odrzekł Jack. – Był karawaniarzem, całkiem dobrym, zwłaszcza na dalekich dystansach. Zginął z ręki Thomasa, gdy wrócił do New Reno, parę tygodni temu. Nie powinno się mówić źle o zmarłych, ale... zginął trochę na własne życzenie. Sam do niego poszedł. Podobno Thomas zabił kogoś mu bliskiego, nie znam szczegółów. W każdym razie słyszałem, że... no zginął okrutnie. Wiecie, zawsze żał kogoś z branży. – Westchnął. – Jeśli tylko dowiecie się, że Mark Thomas jest w okolicy – nie wychodźcie mu na przeciw. Schowajcie się, ukryjcie gdzieś jak najprędzej, a najlepiej uciekajcie. To szalenie, zdolny dosłownie do wszystkiego. Uważajcie na niego, a przede wszystkim na siebie.

Jonathan milczał. Jack nie był świadomy, jak wiele ze słów, które powiedział, już dawno się sprawdziło. Nie mogli z Evelyn wiedzieć jakie były dalsze uczynki Marka, a opowieść Jacka przerosła ich najśmielsze wyobrażenia. Był po prostu potworem, znacznie gorszym niż gangster Salvatore, bo wykonywał dla niego zadania. Był krwiożerczą bestią zdolną do zabicia każdego człowieka. A zwłaszcza własnego brata. Jonathan miał świadomość, że Mark napada jeszcze na karawany w nadziei, że go znajdzie. Wszystko, co robił miało go przybliżyć do dopadnięcia brata.

Tak bardzo żał było mu pastora Juliusa, który mógł zginąć równie dobrze za to, że swoją działalnością naraził się Salvatore, ale również przez to, że próbował oszukać Thomasa. Kiedy ten się dowiedział – na pewno nie oszczędził pastorowi tortur. Było to bardzo prawdopodobne, również w przypadku Bruno, na którego był zły, ale nigdy nie życzył mu śmierci. Co się stało z jego ekipą – z Nickiem, Mulderem, Jonasem i parą zakochanych punków, Maunerem i Natalie? Czy przeżyli? Czy mają się dobrze?

Przez ile dróg będą musieli przejść Jonathan i Evelyn, zanim będą mogli powiedzieć o sobie, że są zwyczajnymi ludźmi? Jak często będą musieli spoglądać w górę, by wreszcie dojrzeć niebo? Jak wiele łez będą musieli przelać? Jak wiele złego jeszcze doświadczą? Te pytania pozostawały wciąż bez odpowiedzi. Podobnie jak to, ile osób będzie musiało jeszcze zginąć z ręki Marka Thomasa?

Karawana szła szybko. Stan Evelyn zaś, po krótkotrwałej poprawie, równie szybko się pogorszył. Po kilku dniach wędrówki, doktor Razlo kategorycznie oświadczył, że potrzebny jest jej dłuższy odpoczynek. Jack miał mały ból głowy, ale ostatecznie stwierdził, że zna dobre miejsce na chwilę postoju.

- Wiem, że nieco na wschód stąd jest wioska. Nazywa się po prostu Sands. Nie wiem kto i kiedy ją założył, ale myślę, że znajdziecie tam schronienie.

Następnego dnia zauważyli w oddali wysoki, solidny mur. Zdawało się, że otacza on wioskę. Nie był jeszcze dokończony – od bramy wejściowej, którą właśnie

mieli okazję oglądać, brakowało przynajmniej piętnastu metrów ściany. Nagle Jack zatrzymał pochód. Kazał wszystkim wyciszyć się.

- Co jest? – zapytał Dan półgłosem.

- Nie ma żadnej warty przy wejściu – odrzekł Jack. – To się nie zdarza nawet w wielkich miastach, a co dopiero....

Urwał i zaczął nasłuchiwać. Po chwili uszu Jonathana i Evelyn dobiegły strzały.

- Cholera!... – zaklął Jack pod nosem. Spojrzał się na Dana, jakby wewnętrznie coś rozważał.

- Wchodzimy, Jack – odpowiedział mu przyjaciel. – To też są ludzie.

- Dobra – odrzekł Jack i odwrócił się do karawany. – Czterech strażników za mną, pozostali zostają. Jonathan i Razlo, możecie pójść z nami? Pokrylibyście tyły, bez walki.

Razlo natychmiast wstał, Jonathan spojrzął się na Evelyn. Ona nic nie odpowiedziała, tylko dała mu swój pistolet. Jonathan kiwnął lekko głową. Jack już szedł w kierunku wejścia do wioski.

- Masz do niego amunicję? – zapytał Dan po drodze.

Jonathan pokręcił głową. Dan wyjął z kieszeni dwa magazynki i wręczył mu je,

- Trzymaj – rzekł z uśmiechem. – Orzełków ci u nas dostatek.

Po kilku chwilach dotarli do wejścia. Jonathan, Razlo, Jack i Dan ustawili się przy prawej kolumnie bramy, pozostała czwórka strażników – przy lewej. Wychylili się za węgiel muru. Było pusto. Tuż obok wejścia, po obu stronach, stały dwa budynki. Nieco dalej na południe, dłuższy, większy i solidniejszy. Tuż nad nim unosiły się kłęby kurzu.

- Barney, idziemy wokół tamtego domu – zdecydował Jack, mówiąc to w kierunku drugiej grupy strażników. Blondyn o zwichrowanych włosach kiwnął głową.

Ruszyli w lewo. Grupa Barneya gęsiego podbiegła między murem i budynkiem i znikła za nim. Grupa, w której był Jonathan ustawiła się przy krańcu budynku z prawej jego strony. Po chwili druga grupa również się pokazała. Jack pokazał jakiś gest w kierunku Barneya i szepnął do pozostałych:

- Za mną, głowy nisko.

Ruszyli, pochylając się, w kierunku długiego budynku na południu. Odgłosy walki były już wyraźnie słyszalne, jednak do uszu Jonathana nie dobiegały huki wystrzałów, co nieco go uspokoiło. Barney pokazał teraz coś Jackowi. Dan podbiegł ku południowemu końcowi budynku i wyjrzał za róg. Kiwnął głową.

- Są za budynkiem – powiedział Jack. – Razlo, pójdziesz za mną i zostaniesz w miejscu, gdzie teraz jest Dan, okej? A ty, Jonathan, na mój znak, wykonasz w kierunku Barneya taki gest – pokazał.

Jonathan kiwnął głową. Jack i Razlo podbiegli do Dana. Po chwili Jack machnął ręką w kierunku Jonathana. Ten pokazał znak Barneyowi i odruchowo padł na ziemię. Jack, Dan i reszta strażników z dzikim rykiem na ustach ruszyła w kierunku walczących mieszkańców wioski z napastnikiem. Posypał się grad wystrzałów. Walka rozgorzała. Razlo celował w kierunku, gdzie Jack z ekipą pobiegli na ratunek. Ręce mu się trzęsły. Jonathan kucał, ale nie mógł wytrwać w miejscu. Wstał i ruszył w kierunku lekarza. W momencie, gdy mijał wypłowiata kotarę, stanowiącą drzwi wejściowe do budynku, zatrzymał się. Para dziecięcych oczu przypatrywała mu się ze strachem. Jonathan ukląkł i spojrzął na malucha. Był to chłopczyk.

- Nie bój się – powiedział łagodnie i wyciągnął rękę ku niemu, ale wtedy maluch wystraszył się i wbiegł do domu. Jonathan odruchowo złapał za zasłonę i... rzucił się do tyłu. Z wnętrza budynku wypadła kobieta z włócznią w dłoniach. Przytknęła ostrze broni do piersi Jonathana.

- Nie, jesteśmy, by wam pomóc... – wydyszał.
- Milcz! – warknęła kobieta. Mały chłopczyk stanął za nią, kurczowo trzymając się jej zniszczonej spódnicy.

Rozległ się trzask ładowanej broni. Kobieta zamarta. Razlo wycelował w jej kierunku i powiedział:

- Rzuć to.

Kobieta odrzuciła dzidę. Była blada jak ściana. Spojrzała na lekarza, kucnęła i wybuchła płaczem, tuląc chłopczyka. Razlo opuścił broń, Jonathan wstał.

- Już po wszystkim? – zapytał.

Razlo kiwnął głową i wskazał w kierunku końca budynku. W tym momencie zza węgła wyszli Jack i Dan w towarzystwie bardzo wysokiego mężczyzny, o długich, czarnych włosach i poważnym obliczu. Tuż obok niego szedł młodzieniec bardzo do niego podobny, pewnie syn, pomyślał Jonathan. Za nimi pojawili się pozostali strażnicy karawany, a jeszcze dalej mieszkańcy wioski. Niektórzy byli zakrwawieni.

Wysoki mężczyzna, przywódca wioski, jak domyślił się Jonathan, rzekł niskim głosem:

- Jako wódz naszego plemienia, chcę wam podziękować za pomoc. Zawsze będziecie tu mile widziani i otrzymacie schronienie. Podwładni Dharmy zawsze będą wspominać was z szacunkiem. Odtąd jesteście honorowymi obywatelami Shady Sands.

- „Shady Sands”, odkrywca nazwa... – szepnął Dan pod nosem, uśmiechając się. Jack kopnął go niezauważenie w kostkę. Dharma nie usłyszał tej małej złośliwości, gdyż zwrócił się do wciąż klęczącej kobiety, tulącej swojego synka:

- Arabello, czy coś stało się tobie lub Sethowi?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko wzięła chłopca na ręce i wpadła do namiotu. Jack zwrócił się do przywódcy wioski:

- Dziękujemy, Dharmo. W ramach waszej wdzięczności chcielibyśmy tu przenocować i napić braminy. Nasz lekarz, doktor Razlo, zajmie się rannymi.

Dharma uklonił się, młodzieniec do niego podobny zrobił to samo.

- Jest jeszcze jedno – powiedział Jack i wskazał na Jonathana. – Ten o to młody mężczyzna szuka tymczasowego schronienia dla siebie i swej rannej małżonki. Czy przez jakiś czas mogliby oni znaleźć schronienie w Shady Sands? Wierzę, że pod twoją opieką będą bezpieczni.

Dharma ponownie się uklonił, ale tym razem odrzekł:

- Wiedźcie jednak, że ci bandyci nie poprzestaną, zwłaszcza po tak sromotnej klęsce. Wrócą tu liczniejsi. Shady Sands przestaje być najlepszym schronieniem.

- Jeśli wrócą jutro, odeprzemy ich atak – odrzekł Jack.

Dharma uklonił się po raz trzeci. Jack zrobił to samo i rzekł do strażników karawany:

- Idziemy!

Jonathan podszedł do Dharmy i powiedział:

- Dziękuję, wodzu, że zechciałeś...

Ten jednak nie słuchał go, tylko wszedł przez kotarę do budynku. Odpowiedział mu za to młodzieniec podobny do Dharmy, nieco wyniosłym tonem:

- Wódz Dharma rozmawia tylko z równymi sobie. Oby twoja małżonka ozdrowiała szybko – nie lubimy tu obcych.

On również wszedł do budynku. Jonathan wzruszył ramionami i pobiegł za Jackiem i jego ekipą.

- Co jest? – zapytał Jack z uśmiechem. – Olał cię?

- Można tak to określić – odrzekł Jonathan.

- Oni tacy są, zwłaszcza ci przywódcy – odpowiedział Jack. – Musisz po prostu czymś się wykazać, pomóc jemu, albo komukolwiek z mieszkańców.

Jonathan kiwnął głową. Jack po chwili zmienił temat:

- Zostaniecie tutaj jakiś czas z Evelyn. Jutro ruszamy do Hub, bo mamy już mały poślizg.

- Ten młodszy powiedział, że nie lubią obcych w wiosce – odrzekł Jonathan.

- Nie przejmuj się nim – Jack machnął ręką. – On nie ma jeszcze nic do gadania.

- Dzięki...

Jack przywołał do siebie Razlo i zaczęli rozmowę. Jonathan zatopił się we własnych myślach.

Następnego dnia karawana po krótkim odpoczynku ruszyła dalej. Ataku bandytów nie było, nie było go też przez następne dni. Najwidoczniej napastnicy porządnie wystraszyli się interwencji uzbrojonych strażników i sądzili, że Dharma wynajął kogoś do ochrony wioski. On sam praktycznie nie wychodził ze swojego domostwa, a jeśli, to tylko po to, aby zostali mu przedstawieni nowi mieszkańcy lub przybysze. Aradesh, ów podobny do Dharmy młodzieniec, który jak się okazało, był jego uczniem, a nie synem, był też jego prawą ręką. Donosił mu o wszystkim, co się dzieje w wiosce, jak mają się mieszkańcy, jakie plony wyhodowali i zbierali. Tubylcy byli przyjaźnie nastawieni, choć czasem aż za bardzo podejrzliwi, co momentami wydawało się nawet zabawne. Ogólnie jednak zaakceptowali przybyszów.

Jonathan, Evelyn i Razlo zamieszkali wspólnie w namiocie naprzeciwko domu Dharmy. Doktor po walce zajął się troskliwie rannymi; pilnował też, aby dziewczyna spokojnie zdrowiała. Przed odejściem karawany umówił się z Jackiem, że ten przywiezie tutaj jego narzeczoną oraz, że dowiezie niezbędne medykamenty. Według Jonathana był to bardzo szlachetny gest z jego strony.

Sam Jonathan zaś usilnie starał się zyskać przychylność wodza wioski. Sama uprzejmość nie wystarczała, więc, mając na uwadze słowa Jacka, wziął się do roboty, jaką była naprawa uszkodzonego muru i budowa jeszcze niedokończonych, północnej ściany. Razem z Razlo i pozostałymi mieszkańcami ciężko pracowali, a efekty ich trudów były coraz bardziej widoczne. Uszkodzony południowy fragment naprawili w ciągu trzech dni. Po tygodniu niedokończona północna część była już w ponad połowie wykonana. Uczeń Dharmy, Aradesh, przekonał się do Jonathana, widząc jego ogromne zaangażowanie.

- Dziękujemy ci, przybyszu Jonathanie. Nikt nie każe ani tobie, ani uzdrowicielowi nic tu robić, a wy pomagacie. To naprawdę szlachetne. Wielki Dharma o wszystkim wie i docenia wasz trud.

Po piętnastu dniach od przybycia karawany Jacka, mur został ukończony i Shady Sands mogło cieszyć się z porządnie wykonanej roboty i z tego, że w końcu czuli się bezpiecznie. Wieczorem wódz Dharma ogłosił święto wioski, wszyscy mieszkańcy bawili się, uczując, śpiewając i tańcząc.

W trakcie zabawy Dharma i Aradesh podeszli do siedzących przy ognisku Jonathana, Evelyn i Razlo. Ci chcieli wstać, ale wódz powstrzymał ich gestem. Usiadł na pieńku obok, Aradesh stanął za nim. Dopiero teraz Jonathan dostrzegł, że uczeń trzyma coś w rękach. Po raz pierwszy mieli okazję oglądać Dharmę i z nim rozmawiać. W jego czarnych jak węgiel oczach odbijał się ogień watry, twarz miał łagodną. Spojrzał na nich i rzekł:

- Shady Sands jest wam ogromnie wdzięczne za cały wysiłek, jaki włożyliście w budowę muru i pomoc moim podwładnym. Gościć was w naszej wiosce to prawdziwy zaszczyt. Czy zechcecie wypić z nami kielich napoju, jakim tradycyjnie raczymy nowych mieszkańców naszej społeczności?

Aradesh wręczył Jonathanowi, Evelyn i Razlo po glinianym kielichu. Byli zaskoczeni, ale ucieszyli się. Wypili z Dharumą i Aradeszem bardzo słodki, ale smaczny napój. Na koniec wódz uściśnął każdego z nich i powiedział:

- Od dziś aż po wieczność jesteście obywatelami Shady Sands.

Jonathan uśmiechnął się szeroko – dopiął swego. Przekonał do siebie najbardziej zatwardziałego mieszkańca, wielkiego wodza, wyniosłego i niedającego sobie niczego wmówić. Mógł to uważać za swój prywatny sukces.

Po tym razem z Evelyn zaczęli się zastanawiać, czy aby nie zostać tu już na stałe. Zнали tutejszych ludzi, trafili wodzowi do przekonania, żyło im się dobrze w Shady Sands. Jednak w ostatnich dniach noga Evelyn ponownie zaczęła dawać jej się we znaki. Po leczeniu Razlo i odpoczynku, jakiego doktor pilnował, aby przestrzegą, stan dziewczyny znacznie polepszył się – Evelyn była praktycznie zdrowa. Jednak lekarz przestrzegł, że będzie potrzebny bardziej zaawansowany zabieg oczyszczenia rany, na jaki on nie mógł sobie pozwolić w tych warunkach. I faktycznie, noga znów zaczęła dokuczać Evelyn.

Następnego dnia po zabawie obudziły ich dziwne odgłosy. Jonathan wstał i wyrzwał z namiotu. Razla nie było w środku. Na zewnątrz było już jasno, choć pochmurnie. Nagle Jonathan usłyszał wybuch. Zbladł i chwycił za pistolet, który leżał obok materacu, na którym spali z Evelyn. Dziewczyna również się obudziła.

- Jonny?...

- Evelyn, zostań tutaj! – powiedział do niej, chwycił dodatkowy magazynek i wybiegł z namiotu.

Szybko pobiegł w kierunku domu Dharmy, tam, gdzie atak miał miejsce ostatnio. Nic nie zauważył. Wioska jednak znowu była opustoszała. Rozejrzał się wokoło. Nagle jego uszu dobiegł głos Razlo.

- Jonathan, Jonathan, na wschodzie!

Pobiegł w kierunku, skąd usłyszał lekarza. Minął dom Dharmy i pędem skierował się ku polom, gdzie mieszkańcy hodowali uprawy. Już widział unoszący się kurz, słyszał też strzały. Dobiegł do wschodniego muru, ogromna wyrwa widniała nieco na prawo od głównego pola walki. Strażnicy wioski, stojący na drabinach, rzucali dzidami za mur. Kilka zakrwawionych osób leżało pod ścianą. Razlo już udzielał im pomocy. Kobiety płakały. Panował ogromny wrzask. Nagle zobaczył jak wódz Dharma wspina się po jednej z drabin.

- Na wroga! – krzyknął.

Jonathan podbiegł do muru i zaczął wdrapywać się po drabinie, pod którą leżał martwy tubylec, tuż obok wodza. Po chwili był już na górze. Spojrzał za mur. Przynajmniej dwudziestu napastników, każdy z pistoletem, strzelbą lub włócznią w ręce, celował w górę ściany. Zaczął strzelać. Dharma rzucał nożami. Kilku bandytów leżało martwych. Jonathan walił na oślep, więc nie wiedział, czy kogoś trafił. Dharma był w połowie wychylony ponad mur.

- Wodzu, kryj się! – krzyknął Jonathan, gdy pocisk wyłamał spory kawał ściany, tuż obok Dharmy.

Ten nie odpowiedział, schylił się i wrzasnął:

- Włócznię!

Stojący na ziemi Aradesh podał mu dzidę. Dharma ponownie wychylił się ponad mur i zamachnął się. Ale nie zdążył rzucić. Dwa strzały ugodziły go prosto w pierś. Jonathan widział jak w zwolnionym tempie, jak wódz spada bezwładnie na ziemię.

- Nie!!! – wrzasnął na spółkę z Aradeshem.

Zszedł z drabiny i kucnął przy Dharmie. Oddychał on bardzo szybko a krew wypływała z niego jak szalona.

- Razlo!!! – krzyknął Jonathan.

Lekarz podbiegł do niego. Spojrzał na rannego ze łzami w oczach i z całej siły ucisnął rany na piersi. Dharma przywołał płaczącego Aradesha i wykrztusił:

- Zaopiekuj się nimi...

Aradesh złapał jego dłoń i pocałował. Po chwili Dharma przestał oddychać.

Jonathan nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zobaczył. Przypomniawszy mu się jego ojciec, również bezwładny, spokojny, martwy. Zaczął kręcić głową z niedowierzaniem. Nagle usłyszał swoje imię. Obrócił się.

- Jonathan, brama!!! – krzyczała Evelyn, biegnąc ku nim.

Spojrzał na Razlo, który opuścił głowę z wyrazem beznadziei na twarzy. Wstał i zaczął biec w kierunku bramy wejściowej, ale siły opuściły go. Upadł na kolana. Evelyn podbiegła do niego i rzuciła go na ziemię, chroniąc przed strzałami bandytów, którzy już wbiegali bramą do miasta.

- Uciekamy!!! – wrzasnęła.

To go ocuciło. Zaczęli się czołgać w kierunku zagrody dla krów. Schowali się za drewnianym płotem. Evelyn zabrała Jonathanowi pistolet i zaczęła strzelać do bandytów. Trzech z nich już leżało na ziemi. Inni zaczęli chować się za budynkiem przy wejściu.

- Magazynek! – krzyknęła Evelyn. Jonathan podał jej amunicję. Evelyn strzelała dalej, tym razem mierząc dokładniej. Kolejnych dwóch napastników padło na ziemię. Razlo podbiegł do nich. W rękach trzymał ich strzelbę.

- Trzymajcie! – wręczył broń Jonathanowi. – Muszę wracać!...

Pobiegł z powrotem ku wschodniej ścianie muru. Jonathan wychylił się za płot i strzelił dwukrotnie. Padł kolejny bandyta. Po chwili usłyszał serię z karabinu maszynowego.

- No to już po nas!... – jęknął, unikając pojedynczego strzału.

- Wcale nie! – krzyknęła Evelyn. – Jack wrócił!!!

Jonathan podniósł się i spojrzał w kierunku bramy. Jack, Dan i pozostali członkowie karawany, tym razem liczniejsi, wbiegali z dzikim rykiem przez wejście do wioski, strzelając w plecy bandytów. Oczyszczili sobie drogę i już pędzili na wschód. Nawet nie zauważyli leżących Jonathana i Evelyn. Błyskawicznie wdrapali się na wolne drabiny i zaczęli strzelać do napastników. Jonathan podbiegł do nich. Nagle jeden ze strażników rzucił granatem. Wybuch na chwilę pozbawił wszystkich słuchu. Walka trwała jeszcze dosłownie kilkanaście sekund. Po chwili ostatnie strzały ucichły.

- Cholera, my to mamy szczęście do tej wioski... – powiedział po chwili Jack. – Kiedy się nie zjawimy, to walka...

Jonathan spojrzał na niego i kiwnął głową. Evelyn dołączyła do niego.

- Co jest? – zapytał Jack, patrząc na jego minę.

- Wódz zginął – odrzekł cicho.

Jack zastygł z wyrazem głębokiego szoku na twarzy.

Wieczorem stali i czuwali nad ciałem Dharmy, nad którym pochylał się Aradesh – bez przerwy od momentu śmierci swojego mistrza. Razem z wodzem odeszło

jeszcze sześciu jego podwładnych, ginąc w heroicznej walce z bandytami. W Shady Sands jeszcze nigdy nie było tak cicho i nostalgicznie. Zawsze wesoła, chętna do pracy i zabawy społeczność pograżyła się w żałobie. Jonathan i Evelyn, którzy niezwykle mocno żyli z tubylcami, odejście Dharmy odczuwali równie mocno jak i oni. Razło, mimo ogromnego szczęścia jakim był przyjazd jego narzeczonej z karawaną Jacka, płakał, tuląc do siebie ukochaną. Jack i jego ekipa czuli się nieswojo.

Pogrzeb Dharmy, wielkiego wodza Shady Sands, odbył się dwa dni po bitwie. Aradesh, jako jego jedyny uczeń, został obrany na nowego przywódcę gromady. Gdy przyszła pora rozstania, Jonathan i Evelyn znowu nie mogli powstrzymać łez. Żegnali się najkrócej jak mogli, aby perspektywa, że mogą się już więcej nie zobaczyć, nie złamała ich ponownie.

Doktor Razło postanowił wraz z narzeczoną, że tutaj osiadą i będą pomagać mieszkańcom Shady Sands w pozbieraniu się i odbudowie nakruszonej przez ataki najeźdźców wspólnie. Jonathan i Evelyn rozumieli ich doskonale i serca im się krajały, gdy w końcu ruszyli z karawaną Jacka.

Jechali prawie dziesięć dni. Droga do Hub była raczej nieskomplikowana – w zasadzie cały czas wędrowali pustynią. Jednak pustkowiem było zdolne do rodzenia w głowie podróżników najróżniejszych myśli. Przez cały okres podróży Jonathan rozmyślał nad ich krótką przygodą w wiosce Shady Sands. Nauczyła go ona wiele o ludziach i o sobie samym. Doświadczył na własnej skórze, że bezinteresowną pomocą i sercem można osiągnąć w tym świecie jeszcze naprawdę wiele. Wojna nie spaliła w ludziach uczucia współczucia, czy wdzięczności. Każdy chciał przetrwać, to normalne, ale nie za wszelką cenę. Istniały jednostki gotowe do poświęceń, takie jak wódz Dharma, z których należało brać przykład. Jonathan zauważył to doskonale i wziął to sobie głęboko do serca.

W mieście zwanym Junktown karawana zatrzymała się na krótki postój. Jack zabrał stamtąd starszego człowieka o imieniu Roberto. Był z pochodzenia Meksykaninem, jednak już nie pamiętał jak wygląda jego ojczysty kraj. Okazał się on przyjaznym gawędziarzem, znającym dobrze świat, w którym przyszło im żyć. Drapiąc się po brodzie, opowiadał im po drodze różne historie – od naprawdę zabawnych po wręcz niewyobrażalnie przerażające. Ciężko było uwierzyć, że jeden człowiek mógł przeżyć aż tyle przygód. Mówił o dziwacznych zwierzętach, powstałych w skutek mutacji po promiennych, o miejscach, w których normalny człowiek przestał istnieć po Wielkiej Wojnie i które znane są jako miasta duchów, wreszcie o ludzkich mutantach, potężnych, zielonych stworach, głupich równie bardzo jak silnych.

Podczas ostatniego postoju przed The Hub wysłuchał też historii Jonathana i Evelyn. Wzruszył się, słuchając jak wiele złego przeszli dotąd w swych krótkich przecież żywotach. Swoim zwyczajem podrapał się po swojej długiej, siwej brodzie i powiedział:

- Znałem kiedyś człowieka o imieniu Allan. Był czas, że ubierał się elegancko i wykwinłnie, wyznaczał sobie drogę rzucając monetą. Był w tym jakiś sposób na życie – zawsze wybierał między dwoma: czarne albo białe. Ludzie mówili mu: „Skończysz marnie. Upadniesz.” Ale on brał to jako żart, docinki zawistnych. Śmiał się z nich i ich żalonych, według niego, argumentów. Znalazł dobrą, prestiżową pracę. Tylko jedno mu doskwierało – samotność. Ludzie zaczęli gadać – nie ma kobiety... W końcu przestał krzyczeć, przestał unosić głowę. Wyrzucono go z pracy. Ulica stała się jego

domem. Pewnego dnia monetą, którą niegdyś torował sobie drogę przez życie, musiał zapłacić za jedzenie. Tego samego dnia Allan strzelił sobie w głowę.

Ogień trzasnął w wiatr, ale stracił animusz, wiatr ucichł, gwiazdy blade świeciły na czarnym firmamencie. Roberto dokończył opowieść:

- Kiedy nie masz niczego, to niczego nie możesz stracić. Będąc niezauważonym – nie masz żadnych tajemnic, sekretu, który chciałbyś zataić. To jest właśnie życie.

Jonathanowi po raz pierwszy od kilku tygodni przypomniał się jego brat.

Do Hub dojechali dokładnie w południe, pierwszego dnia listopada. Miasto to znacznie różniło się od tych, które Jonathan i Evelyn mieli okazję już oglądać – było znacznie bardziej żywe niż Redding, nie miało slumsów jak New Reno, wydawało się zwarte i solidne. Było swego rodzaju jednością, którą charakteryzować się może stolica państwa, czy stanu. I, choć oficjalnie nią nie było, Jonathan miał nieodparte wrażenie, że to właśnie Hub jest sercem Kalifornii.

Panował tu ciągły ruch. Od samego wejścia do miasta bez przerwy grom ludzi przemieszczał się, rozmawiał ze sobą, krzyczał, biegał. Tętniło ono życiem, w którym prym wiódł biznes i pieniądze. Jack co chwila witał się z kimś, inni też zagadywali do niego, pytali o interesy. Był tu znaną postacią. Wszyscy byli zabiegani, ale przyjaźnie nastawieni. Jonathanowi i Evelyn również udało się porozmawiać z kilkoma osobami. Były to zwykłe pytania – skąd pochodzą, jak minęła podróż. Wydawało im się, że są traktowani jak zwykli podróżnicy, z czego bardzo się cieszyli. Jednak nie mogli zaprzeczyć jednemu – oprócz interesów w mieście mówiło się przede wszystkim, że Decker wyjechał.

Jonathan, mając w pamięci słowa Jacka i Dana o tym przestępcy, miał wrażenie, że ludzie rozmawiają o nim ściszym głosem, jakby obawiali się, żeby ich słowa nie dobiegły uszu kogoś niepowołanego. Podzielił się tą refleksją z Jackiem, który oświadczył:

- To normalne, dziwisz się? Decker raczej nie unieszkodliwia za gadanie o nim, ale po co kusić los?

- Myślisz, że ma w mieście... szpiegów albo donosicieli? – zapytał Jonathan, bojąc się, aby nie zabrzmiało to nazbyt obcesowo.

- Czy ja wiem? – zastanowił się Jack. – Nie słyszałem by korzystał z usług jakichś prawdziwych szpicli, raczej gardzi rozmową ze zwykłymi przeciętniakami. Chociaż ma przecież od tego swoich ludzi... W każdym razie nie słyszałem o przejawach donosicielstwa w Hub. Jak dotąd.

Jonathan kiwnął głową.

- Dobra, jedźmy do lekarza. Twoja żona nie może dłużej czekać.

Jonny spojrzał na Evelyn, która z zainteresowaniem przyglądała się nowemu miejscu. Jej ciąża była już widoczna. Ona sama nie sprawiała wrażenia, że dolega jej poważny uraz nogi. Uśmiechała się lekko i rozglądała po mieście. Jak zawsze była pogodna i dobrej myśli.

Ekipa Jacka została przy wejściu do miasta. On sam zaś ruszył z Jonathanem i jego dziewczyną do miasta. Po chwili na pierwszym dużym skrzyżowaniu skręcili w lewo. Minęli dwa budynki po swojej prawej stronie, na których widniały szyldy: „Biblioteka” oraz „Sklep u Mitcha”. W oddali zobaczyli potężnie wyglądającą budowlę z dużym napisem „POLICJA” przy drzwiach wejściowych. W tym momencie ktoś

znów zaczął rozmowę z Jackiem, który spoważniał. Chwilę później ponownie skręcili w lewo w szeroką ulicę.

- No, jesteśmy – oświadczył Jack.

Jonathan i Evelyn spojrzeli na podniszczony budynek. Tuż przy drzwiach wisiała maleńka tabliczka z napisem: „Dr Warren. Nie przyprowadzać psów”. Panowie pomogli zejść Evelyn z przyczepy. Weszli do budynku.

W środku było niemal tak chłodno jak na zewnątrz, do tego bardzo jasno i zupełnie pusto. Stanęli tuż przy drzwiach frontowych i czekali. Po chwili starszy, wysoki mężczyzna w kitlu, z zarosniętą twarzą wyszedł z drzwi naprzeciwko. Ukłonił się i rzekł niskim głosem:

- Witam serdecznie, widzę podróżnicy. W czym mogę państwu pomóc?

- Witamy, doktorze – odpowiedział Jack. – Ta urocza młoda dama potrzebuje pańskiej opieki.

Doktor Warren założył okulary i zmrużył oczy.

- Ach, Jack, stary druhu! – zakrzyknął i podszedł do nich prężnym krokiem. – Jak się masz? Dawno cię tutaj nie było.

- Wszystko u mnie w porządku – odrzekł Jack, uśmiechając się i ściskając rękę lekarzowi. – Ale ta pani mogłaby się mieć znacznie lepiej dzięki doktorowi. Pomógł jej już Razlo, który miał okazję mieć u doktora praktyki, ale stanowczo doradził wizytę u pana.

Lekarz spojrział na Evelyn i zmarszczył czoło.

- Dobrze, a zatem zapraszam do gabinetu – odrzekł i wskazał na drzwi, z których wcześniej wyszedł. Zwrócił się do Jonathana: - Pan jest jak miemam?...

- Mężem... – dokończył Jonathan.

- Dobrze, dobrze, panowie zaczekajcie tutaj, a ja zobaczę, co dolega pani... pani...

- Evelyn – dokończyła dziewczyna z uśmiechem.

Oboje zniknęli w gabinecie. Jonathan usiadł na wolnym krzeselku, ale Jack, po chwili namysłu, powiedział do niego:

- Jonny, muszę załatwić kilka rzeczy. Niedługo wrócę i poszukamy jakiegoś lokum dla was, okej?

Jonathan wstał i rzekł wzruszonym głosem:

- Jack, jak mogę ci się odwdziżyć?...

Ten jednak, tylko mrugnął okiem, uśmiechnął się i wyszedł.

Evelyn była w gabinecie już od kilkunastu minut i Jonathan zaczynał się powoli niecierpliwic. Przychodziły mu do głowy różne myśli, przypominał sobie różne dziwne sytuacje i wydarzenia. Wyrżał przez okno. W tej części miasta ruch nie był już tak intensywny jak na przedmieściach, a jednak ciągle widział ludzi zmierzających w różne strony. Pojedynczych, ale i kobiety z dziećmi, staruszków. Nie było bezdomnych ani pijanych do nieprzytomności jak miało to miejsce w New Reno. Podnosiło go to na duchu, nie chciał, żeby Evelyn przeżywała to ponownie.

Po około pół godzinie przybył Jack. Po przeczącej odpowiedzi na pytanie, czy doktor skończył badać Evelyn, odrzekł:

- To w sumie dobrze, chciałbym, żebyś gdzieś ze mną poszedł. Tylko ją uprzedzę.

Zapukał do drzwi gabinetu i po chwili rozmowy zamknął je za sobą i ruszył w kierunku drzwi wejściowych.

- Chodźmy – powiedział. Wyszli ze szpitala.

Udali się w kierunku wschodnim wraz z braminem, który ciągnął na przyczepie dobytek Jonathana i Evelyn. Jack po drodze opowiadał mu nieco o mieście:

- Właśnie opuściliśmy Śródmieście i idziemy na tak zwane Stare Miasto. Jest to biedniejsza dzielnica, ale i tak sto razy bogatsza i bardziej przyjazna niż całe New Reno. Żyje jakby swoim życiem, wolniejszym, bardziej leniwym, spokojniejszym.

- Coś jakby Redding... – odrzekł półszepcetem Jonathan, ale Jack dosłyszał go i uśmiechnął się.

- No, powiedzmy – odrzekł. – Powinno się wam tutaj dobrze mieszkać.

Jonathan spojrział na niego pytająco. Jack roześmiał się na widok jego miny.

- Co taki zdziwiony? – zapytał wesoło. – Przecież musicie jakoś żyć, tak? Zamieszkacie sobie w moim skromnym domku. Mnie i tak więcej nie ma niż jestem. A przynajmniej nikt mi go nie okradnie, kiedy tam będziecie.

- Jack... – zaczął Jonathan, ale ten mu przerwał i spojrział na niego poważnie:

- Słuchaj, Jonny. Wiele przeszłście, rozumiem was jak mało kto. Musimy sobie pomagać, bo tak robią przyjaciele, tak? I nie gadaj mi tu jak się odwdzięczysz, czy co chcę, żebyś dla mnie uczynił. Po prostu żyjcie godnie, wychowajcie swoje dziecko, nie dajcie się złym ludziom. Jasne?

Jonathan ze łzami w oczach ucisnął go z całych sił.

- Dobra, dobra, bo jeszcze ktoś pomyśli o nas, że jesteśmy „nie za bardzo”... – odpowiedział Jack, śmiejąc się.

- Dziękuję, naprawdę bardzo ci dziękuję... – szepnął Jonathan, ocierając łzy.

- Nie ma problemu – odrzekł Jack. – To już tutaj.

Dotarli do Starego Miasta. Faktycznie, była to znacznie spokojniejsza i nieco biedniejsza okolica niż Śródmieście, jednak sprawiała wrażenie przytulnej. Stanęli przy całkiem ładnym i solidnym domu, tuż obok pierwszego skrzyżowania, a może raczej zakrętu. Jack wyjął zza pazuchy pęk kluczy i zaczął otwierać kłódki zawieszane na ciężkich belkach. Jonathan pomógł mu je zdjąć z haków i po chwili otworzyli drzwi.

W środku panował półmrok, ale Jack natychmiast temu zaradził, otwierając drewniane drzwiczki osłaniające okna od wewnątrz. Mieszkanie nie było duże, ale przytulne. Posiadało jeden salon dzienny oraz coś na zasadzie komórki i kuchni w jednym. Jonathanowi niezwykle się podobało, który nie potrafił powiedzieć słowa i wciąż ze ściśniętym gardłem słuchał trajkotania Jacka. Po obejrzeniu domu, Jack pokazał też Jonathanowi Stare Miasto i wrócili do szpitala.

Evelyn z uśmiechem na twarzy siedziała i wesoło rozmawiała z doktorem Warrenem. Na widok Jonathana wstała, podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję.

- Jest dobrze, kochanie – powiedziała rozpromieniona.

- Ale jeszcze trochę i mogło być naprawdę nieciekawie – dodał doktor Warren. – Oczyszciliśmy ranę. Muszę powiedzieć, że ma pani naprawdę silny organizm, że przez tak długi okres czasu dzielnie wytrzymała tak poważne zakażenie. Rehabilitacja nie potrwa zbyt długo, myślę, że do Świąt Grudniowych powinna pani być zdrowa.

- Dziękujemy, doktorze – odrzekł równie szczęśliwy jak jego dziewczyna Jonathan.

- Jeszcze jedno – powiedziała Evelyn. – Dziecko ma się dobrze i nic mu nie grozi.

- Tak, ciąża przebiega prawidłowo – powiedział doktor. – Jak mówię, rzadko się zdarza, że ma się do czynienia z tak niezwykle wewnętrzną siłą i odpornością. Kłaniam się z uznaniem.

Doktor pochylił głowę.

Kilka minut później Evelyn, podobnie jak wcześniej Jonathan, wzruszyła się do łez, gdy usłyszała o geście i słowach Jacka. Kiedy i ona rzuciła mu się na szyję z wdzięcznością, powiedział tylko:

- Cholera, ludzie zaczną gadać, że mam powodzenie w obu płciach.
- Cała trójka roześmiała się.

Wieczorem Jack, Dan i jego towarzysza i pozostała ekipa karawany, niektórzy również z partnerkami, przyszli na małe przyjęcie do nowego domu Jonathana i Evelyn. Wszyscy bawili się, jedli i pili, w końcu, do syta, odpoczywali. Jonathan był szczęśliwy, kiedy widział promieniującą Evelyn. Tak chciał, żeby zaznała spokoju, pragnął tego od chwili, kiedy podjął decyzję o wyjeździe z Redding. Wreszcie ten moment nadszedł. Szczęście uśmiechnęło się do nich oczyma Jacka. Tak, był naprawdę szczęśliwy...

Ale jednocześnie coś nie dawało mu całkowitego wewnętrznego spokoju. Wiedział co, a raczej – kto. Nie chciał już wracać do wszystkich strasznych wydarzeń, jakie oboje musieli przeżyć z powodu jego brata. Jednocześnie wiedział, że to jeszcze nie koniec. Wiedział, że Mark Thomas nie spocznie dopóki go nie znajdzie. Jonathan bał się, ale nie wpadał w panikę. Za dużo przeszedł, żeby teraz poddać się bez walki. Wiedział, że nie będzie łatwo, kiedy w końcu dojdzie do konfrontacji, ale wiedział też, że ma na kogo liczyć. Rzucił okiem na karawaniarza Jacka. Był w tym momencie duszą towarzystwa, roześmiany, rozluźniony. Tak wiele Jonathan mu zawdzięczał. Przecież on wcale nie musiał tego robić, nie musiał im pomagać, dawać im mieszkania. Mógł po prostu zostawić ich w pierwszym lepszym mieście, czy nawet na środku pustyni, jak to niegdyś uczynił Bruno. A jednak chciał im pomóc, po prostu tego chciał. Jonathan wiedział, że ma w nim przyjaciela i był za to wdzięczny losowi.

Nie wiedział natomiast tego, czym żyło całe The Hub – co się stało z Deckerem. Ale nie był w tej niewiedzy osamotniony. Ani Jack, ani Dan, ani ktokolwiek inny z mieszkańców The Hub, z którymi karawaniarze mieli okazję rozmawiać nie mieli zielonego pojęcia, dlaczego Decker tak nagle opuścił miasto nieco ponad tydzień temu. Rozmowa przy stole w końcu zeszła na ten temat.

- Ludzie są zdziwieni, ale w sumie zadowoleni – mówił Dan. – Przynajmniej jeden problem mniej na głowy. I trochę luzu. Decker powoli zaczyna się uważać za władcę tego miasta. „Sokół” już mu nie wystarcza. Chodzą słuchy, że chce objąć tu dawne stanowisko gubernatora. A wiadomo, co za tym idzie...

- Szykanowanie, szantaże, „podatki”... – dokończył Jack i pokręcił głową.

- Dokładnie – odrzekł Dan. – Drogą logiki – skoro teraz z niego kawał gnoja, to i później wcale nie będzie lepszy.

- Widziałam, że w Hub jest policja – powiedziała Evelyn. – Nie mogą sobie z nim jakoś poradzić?

- Nie ma dowodów – odrzekł Jack. – Nikt nie chce zeznawać, bo wszyscy się boją.

- Ale przecież nie tak dawno sami mówiliście, że atakuje on tylko zamożnych? – zapytał Jonathan.

- Tak było – odrzekł Jack. – Po prostu zmienił taktykę. Jego podziemie jest już naprawdę rozbudowane. Jeszcze dzisiaj rozmawialiśmy, że nie ma szpiegów w Hub. A tu okazuje się, że jednak...

- Ludzie dla kasy są w stanie zrobić naprawdę wiele – powiedziała młoda dziewczyna, która przyszła z Danem. – The Hub mocno się zmieniło przez ostatnie miesiące.

- Starzy mieszkańcy boją się, że miasto może popaść w kryzys – dodał strażnik karawany, Barney. – Jeszcze większy niż ten piętnaście lat temu.

- Spokojnie, tak źle na pewno nie będzie – rzekł Jack. – Wtedy nie było tu jeszcze żadnych służb porządkowych. Szeryf Smith na razie trzyma rękę na pulsie.

- A propos szeryfa – wtrącił Dan. – Mielicie okazję poznać jego pierwszego zastępcę?

- Justin Greene – odrzekł Jack, uśmiechając się szeroko. – Kawał drania, wstąpienie w szeregi obrońców porządku to ostatnie, o co mógłbym go podejrzewać.

Widząc pytające spojrzenia pozostałych, dokończył:

- Z Justinem znamy się już od lat. Różne numery odwalaliśmy za młodu, aż nie przystawało, biorąc pod uwagę dokonania jego dziadka. Próbował parać się karawaniarstwem, ale szybko zrezygnował. Później kręcił się wokół Kupców Wodnych i tych ich maszyn, a teraz... Życie jest pełne niespodzianek. Dzisiaj dowiedziałem się od niego, że planują z szeryfem Smithem rozbić działalność Deckera pod jego nieobecność. Raczej nie rozbiją, co najwyżej nadszarpną. Kane jest głupi, ale Decker nie. Na pewno zostawił swojemu egzekutorowi dokładne wytyczne, jak dalej prowadzić swoją... nazwijmy to – działalność...

- A ty skąd znasz tak dobrze tego Kane'a? – przerwał mu Dan.

- Stare dzieje – Jack zmarszczył czoło. – Wyszła z nim nieprzyjemna historia, po prostu podkapował kiedyś mnie i Justina. Gdyby nie interwencja starego Greene'a, moglibyśmy zostać nawet wydalenii z miasta. A on miał z tego kupę uciechy. Szkoda żołądka nawet na wspomnianie tego.

Zapadła chwila milczenia, którą przerwała Evelyn:

- A więc jak szeryf chciałby powstrzymać działania Deckera?

- Cóż, tego raczej się nie dowiem – uśmiechnął się Jack. – Justin nie chciał nic gadać, a ja, szczerze mówiąc, nawet nie chcę się dowiadywać. Jeśli przez dochowanie tajemnicy cała akcja miałaby się udać, to nie mam nic przeciwko. Na razie Smith prowadzi spis ludności miasta.

- Czy my też będziemy wpisani na listę? – zapytał Jonathan.

- Ciężko powiedzieć – odpowiedział Jack. – Jutro będę z nim rozmawiał na ten temat. Może jako moi goście nie będziecie musieli figurować w tym spisie. Ale to chyba nic strasznego? Po tylu przejściach obecność w jakimś wykazie, to raczej nie najgorsza ewentualność – skwitował z uśmiechem.

Jonathan też próbował się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu to wyszło. Jack zmienił temat:

- Hej, a pamiętacie tę zgraję szczurów, z której uratowaliśmy Jonny'ego i Evelyn? Muszę to opowiedzieć Haroldowi...

Jonathan zatopił się w własnych myślach. Wpisywanie jego nazwiska na jakąkolwiek listę nie wydawał mu się najlepszym pomysłem. I choć nie usłyszał jeszcze w The Hub nazwiska Thomas, to miał nieodparte wrażenie, że i tutaj już o nim słyszeli. Gdyby lista ta trafiła w niepowołane ręce... Otrząsnął się. „Weź się w garść... Przecież jego tutaj nawet nie ma”. Odetchnął głęboko i choć po chwili rozmawiał z innymi już normalnie, to jednak do końca wieczoru jakby nie był sobą.

Impreza u Jacka, Jonathana i Evelyn skończyła się sporo po północy. We trójkę rozdysponowali sobie miejsca noclegowe. Rozmawiali jeszcze przez kilkanaście minut. W końcu, gdy mieli już się kłaść, Jack powiedział półgłosem:

- Jonathan, czy ty traktujesz mnie jak swojego przyjaciela?

Zaskoczyło go trochę to pytanie. Spojrzał na Evelyn, która również nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

- Oczywiście – odrzekł. – Skąd to pytanie?

- Bo mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz – odpowiedział. W jego głosie słychać było lekki wyrzut. – W zasadzie, oboje ukrywacie.

Jonathan poczuł jak krew odpływa mu z twarzy. Szybko domyślił się, co Jack chce usłyszeć. A może jednak nie chce? Ponownie spojrzął na Evelyn, która tym razem spuściła wzrok. Skierował oczy na Jacka i przełknął ślinę.

- No więc, jest jedna rzecz, o której musisz wiedzieć... – zaczął, ale coś znów nie pozwoliło mu dokończyć. Czuł się fatalnie, był zły sam na siebie, że tak potraktował człowieka, który tyle zrobił dla niego i Evelyn.

Jack milczał. Patrzył się jednak na niego uważnie, szeroko otwartymi oczyma i czekał.

- No więc, pamiętasz nasze pierwsze spotkanie, w lesie?... – powiedział Jonathan. – Wtedy... no, okłamałem cię. Mark Thomas nie jest dla mnie zupełnie obcą osobą. To... to mój brat.

Jack patrzył się na niego wciąż w ten sam sposób. Po chwili westchnął głęboko i przymknął oczy. Jonathan tylko czekał, aż wpadnie w furię i wyrzuci ich na bruk. Ale on zamiast wybuchnąć wściekłością... uśmiechnął się. Evelyn spojrzała się na niego i zapytała:

- Już mamy się wynosić?

Jack zrobił zdziwioną minę.

- Zwariowałaś? – powiedział. – Oczywiście, że nie. Nawet nie mam wam tego za złe. Tak... rozumiem was. Też bym tak zrobił. Choć, gdyby komuś z mojej karawany coś się stało, to pewnie inaczej byśmy rozmawiali – dodał z uśmiechem.

- Naprawdę, Jack... bardzo cię przepraszam... – próbował wydukać z siebie Jonathan, ale Jack przerwał mu:

- Nie masz za co, serio. Teraz tylko trzeba pomyśleć, co z wami zrobić...

- Co masz na myśli? – zapytała Evelyn.

- No cóż, chyba osobiście nic nie wskóram u szeryfa, jeśli chodzi o listę obywateli. I... zastanawiam się... jeśli wpadłaby ona w łapy kogoś, kto... nie jest wam przychylny... – westchnął. – Słuchajcie, też muszę wam powiedzieć coś, nad czym zastanawiam się już od dłuższego czasu. Myślę, że Decker wyjechał zwerbować Thomasa. Jeśli tu wróci, to, moim zdaniem, tylko z nim. Nie chciałem nic gadać podczas kolacji, żeby nie straszyć moich ludzi. Mamy trochę wolnego, niech się tym nacieszą. Domyśliłem się, czemu wtedy straciłeś humor, Jonny. Nie jestem taki głupi. I teraz – co z wami?...

- Jak to co? – powiedziała nagle Evelyn, zwracając się do Jonathana. – Po prostu musisz zmienić nazwisko.

- Ale... czy to nie będzie zbyt proste? – zapytał Jack.

- Najprostsze – odrzekła Evelyn. – I właśnie dlatego najlepsze. Mark Thomas nie wie jak się nazywam. Zdaje mi się, że nawet nie wie, że ja istnieję, więc po prostu Jonathan przyjmie moje.

Jack uśmiechnął się szeroko i powiedział do Jonathana:

- Muszę ci powiedzieć, masz genialną żonę.

Jonathan nie wyglądał jednak na przekonanego. Był raczej zasmucony.

- No co jest, Jonny? – zapytał Jack. – Przecież to naprawdę niezły pomysł. Nie trzeba wymyślać, wszystko jak na tacy.

- Tak, wiem, ale... – odrzekł Jonathan. – Mój ojciec... chociaż nazwiskiem... chciałem uczcić jego pamięć...

- Twój ojciec powiedziałby, że to świetna koncepcja – przerwał mu Jack. – Jestem tego pewien. I że jest to dobre rozwiązanie przynajmniej części problemów. I że dzięki temu będziecie bezpieczniejsi. I że masz żonę, z której możesz być naprawdę dumny.

- No właśnie... – tym razem Evelyn wyglądała na zakłopotaną. – Widzisz ta „żona”, to... nie do końca jestem...

- Nie! Nic już nie mów! – przerwał jej Jack. – Nie braliście ślubu, tak? Cholera, a czy to dziecko w twoim brzuchu, to aby na pewno twoje?...

Następnego dnia, gdy Jonathan i Evelyn obudzili się, Jacka już nie było. Leżeli obok siebie i rozmawiali o wczorajszym wieczorze, a właściwie nocy. Opowiedzieli Jackowi całą swoją historię, bez pominiętych szczegółów i niedomówień. Był wstrząśnięty.

Teraz postanawiali, co dalej. Chcieli w końcu naprawdę się pobrać i oboje zdecydowali się na początek przyszłego roku, kiedy Evelyn powinna być już całkowicie zdrowa. Jonathan chciał znaleźć jak najszybciej jakąś pracę – ich stan gotówkowy, choć nadal nie było najgorzej, skurczył się już dość znacznie. Wiedzieli, że w razie czego Jack na pewno pomógłby im, ale nie mogli przecież polegać tylko na nim. Już i tak wiele dla nich uczynił. Trzeba było żyć dalej, a Hub, według wielu, największe miasto w obecnych Stanach Zjednoczonych, a być może jedna z największych osad na świecie, na pewno umożliwi im życie godne. Z optymizmem patrzyli w przyszłość.

Przed południem Jack wrócił do domu w towarzystwie wysokiego, ubranego w granatowy mundur mężczyzny, z siwą bródką. Był to szeryf Smith. Okazał się on bardzo miłym jegomościem, z radością powitał w mieście nowych mieszkańców. Był jednak zabiegany i nie zabawił u nich zbyt długo. Szybko przeszedł do formalności, wpisując Jonathana i Evelyn na listę mieszkańców. Po dziesięciu minutach zbierał się już do wyjścia.

- A więc – rzekł na odchodnym – Evelyn i... Jon. Mam nadzieję, że The Hub spełni pokładane w nim przez was nadzieje. Do zobaczenia.

Jack mrugnął do nich okiem i wyszedł za szeryfem. Byli już zatem obywatelami miasta.

Tego samego dnia Jonathan, a od teraz oficjalnie Jon, Evelyn i Jack poszli przejść się po mieście. Głównym celem ich spaceru było znalezienie pracy dla Jonathana i odwiedziny u doktora Warrena, ale przy okazji postanowili rozejrzeć się, poznać miasto, być może jakichś ludzi. Stare Miasto biło jakimś wewnętrznym spokojem, za to Śródmieście tętniło życiem do późnych godzin nocnych. Zauważyli jednak charakterystyczną rzecz, na co zwrócił im uwagę również Jack – pięknie wyglądający salon „Maltese Falcon” świecił pustkami. Praktycznie nikt nie wchodził tam na drinka, wszyscy omijali go, często nie zaszczycając spojrzeniem, albo patrząc nań z pogardą lub nawet ze strachem. Wiadomo było, że bar ten jest siedzibą czegoś złego. Czegoś, a raczej kogoś, o nazwisku Decker.

W końcu dotarli na przedmieścia. Miały tu siedzibę dwie duże organizacje karawaniarskie – dość prężnie działająca „Crimson Caravan” i, przeżywająca swoją drugą młodość, „Wasteland Traders”. Jak się później dowiedzieli Jack nie należał do żadnej z nich – był tak zwanym „wolnym trawelerem”. Powoli jednak karawaniarze

odchodzili od takiej praktyki wykonywania zawodu, zrzeszając się w organizacje – cel był rzecz jasna jeden: lepsze zarobki.

Jonathan i Evelyn stali nieopodal rozległego, utwardzonego placu, na którym wydzielone były, jak wytłumaczył im Jack, „kwadraty”, czyli miejsca postoju poszczególnych karawan. Oboje doszli do wniosku, że Przedmieścia były sercem The Hub. Karawany przyjeżdżały i odjeżdżały prawie bez przerwy, panował ciągły ruch. Ale nie było chaosu – wszystko miało ręce i nogi, było uporządkowane, zdyscyplinowane. Pilnował tego niski karzełek, który biegał między poszczególnymi szykami i ich dowódcami, ze stosem różnych papierów w ręce. Nie mówił normalnym tonem głosu, jak wszyscy, ale bez przerwy krzyczał.

- To Norman – wyjaśnił Jack. – Nazywamy go Shoutee, nie za bardzo to lubi, ale łatwo się domyślić dlaczego właśnie tak. Odprawia karawany. Specjalista pierwszej klasy, sposób w jaki panuje nad tym wszystkim jest... naprawdę zdumiewający. Ale nie ma szczęścia do współpracowników, wszyscy są dla niego zbyt ociężali – uśmiechnął się i nagle, jakby oprzytomniał. – Hej, a może ty byś spróbował u niego roboty, co, Jonny?

- No... jasne, czemu nie... – odrzekł Jonathan.

- Chodźmy, zobaczymy, czy znajdzie dla nas chwilę – powiedział Jack.

Podeszli do niewielkiego budynku, do którego właśnie przed chwilą wszedł karzełek Norman. Nad wejściem umieszczona była przekrzywiona tabliczka z odręcznie napisanymi słowami: „Biuro Odpraw” – nie wiedzieć dlaczego z dwoma „w” na końcu.

Jack wszedł do środka, Jonathan i Evelyn pozostali na zewnątrz. Drzwi otwarte były na oścież, więc zajrzeli do środka. Nawet jeśli chcieliby wejść do biura, to praktycznie było to niewykonalne. Panował tam totalny bałagan, mnóstwo papierów leżało na podłodze, niewielkiej komodzie w rogu i biurku, za którym siedział jakiś spocony i wystraszony młody mężczyzna, z okularami na czubku nosa. Skrobał coś zawzięcie piórem po kartce. Przed biurkiem stał Norman. Jack zapukał we framugę. Karzełek odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

- Ach, witaj Jack – krzyknął piskliwym głosem. – Jak minęła podróż?! Odhaczałeś się już u mnie!?

- Oczywiście, Shoutee... – zaczął Jack, ale Norman błyskawicznie znalazł się przy nim. Był od Jacka prawie dwa razy niższy, ale nie przeszkadzało to mu złapać jego kurtki na wysokości ostatnich guzików i wrzasnąć:

- ILE RAZY MAM POWTARZAĆ, ŻE NIE JESTEM ŻADEN „SHOUTEE”!?!?!?

- Dobrze, dobrze, uspokój się już – odrzekł Jack, uśmiechając się szeroko. – Oczywiście, że się odhaczałem. Twój pracownik powinien mnie pamiętać.

- Antick!!! – wrzasnął Norman w kierunku chłopaka siedzącego za biurkiem, który momentalnie wstał, uderzając przy tym głową w wiszącą nad nim półkę. – Co ty robisz, Antick?! Kazałem ci demolować moje biuro?! Mów, czy pan Jack został wczoraj odhaczony?!

- Ee... ee... – zająknął się chłopak i zaczął pospiesznie przeglądać dokumenty na biurku, czym całkowicie rozwścieczył karła.

- Co mi tu jęczysz, jak samica bramina podczas ciecarki?!?! – ryknął tak piskliwie, że Jonathan bał się, żeby szyby nie popękały od tak wysokich dźwięków. – Gadaj zaraz!!!

- Ee... – Antick był coraz bardziej spocony i trząsał się niemiłosiernie. – Ja... nie wiem...

- Aaa!!! Jesteś zwolniony!!! Już, wynoś się, wynoś!!! – wrzasnął Norman, skacząc w miejscu jak kauczukowa piłka.

Antick stał w bezruchu z wyrazem przerażenia na twarzy.

- NO JUŻ!!!

Chłopak otrząsnął się, sięgnął pod biurko i wyjął stamtąd małą sakiewkę. Był wyższy nawet od Jacka, ale w tej chwili skulił się i ruszył w kierunku wyjścia. Norman na odchodnym poczęstował go kopniakiem. Antick szlochając uciekł w kierunku Śródmieścia.

- Mówię ci, Jack, jak trudno teraz o dobrego pracownika – Norman uspokoił się nieco, ale wciąż szybko oddychał. Otarł sobie mokre czoło chusteczką. – Już nawet nie wykwalifikowanego, bo to niemożliwe, ale chociaż takiego, który się stara...

- Widzisz, Shoutee, a ja znam kogoś takiego – odrzekł Jack, a Norman chrząknął znacząco, gdy usłyszał znieprawdzone ksywkę. – Pozwól, że ci go przedstawię – kiwnął w kierunku Jonathana i Evelyn, którzy weszli do biura.

- To jest Jon – wskazał karzełkowi. – Wykwalifikowany księgowy, potrafi pracować sprawnie i w szybko zmieniającym się otoczeniu. No i ma świetną pamięć.

Norman zmierzył wzrokiem Jonathana i rzucił okiem na Evelyn. Ponownie spojrzał na Jacka.

- Evelyn jest małżonką Jona – wyjaśnił.

- Gdzie pracował? – zapytał Norman jakby na pół Jacka i na pół Jonathana.

- Byłem księgowym w kopalni złota w Redding i asystentem sprzedawcy w sklepie z bronią w New Reno – odrzekł Jonathan.

Na Normanie zrobiło to chyba wrażenie, bo zastygł na moment z wyrazem zdumienia na twarzy. Po chwili szybko podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

- A więc zapraszam od jutra – pisnął. – I oby się pan sprawdził.

- Dzięki, Shoutee – odrzekł Jack, szczerząc zęby.

Karzełek ponownie zaczął skakać ze złości. Jonathan, Evelyn i Jack pokładali się ze śmiechu przez całą drogę powrotną.

Praca, jakiej Jonathan podjął się od następnego dnia była typową robotą papierkową. Musiał raportować wszystko, co tylko działo się akurat przy wejściu do miasta – przybycia karawan, wyjazdy, cele wizyt, wwożone przedmioty, jeśli były uważane za „stwarzające zagrożenie spokoju miasta i jego obywateli”. Przyuczenie przez Karła Normana trwało dosłownie dziesięć minut, ale Jonny szybko załapał sens i po dwóch godzinach doszedł już do wprawy. Jego szef najwyraźniej nie krzychał w jego kierunku, jako że był to jego pierwszy dzień w pracy, ale Jonny zauważył jego uśmiech i potakiwanie głową, gdy sprawnie odszukiwał potrzebne papiery, pamiętał popołudniu to, co działo się rano, był po prostu dobry w tym, co robił. Sam Jonathan również był zadowolony. Przez następne dni z ochotą i werwą pełnił swoje nowe obowiązki.

Evelyn przechodziła zaś rehabilitację. Bywała u doktora Warrena praktycznie każdego dnia, a w wolnym czasie, którego miała aż nadto, poznawała mieszkańców Starego Miasta. Jonathan miał wrażenie, że ciepło, które biło z jej oczu i gestów, przyciąga przychylnych jej ludzi tak łatwo, jak Shoutee'emu przychodziło wyrzucanie z pracy swoich poprzednich pomocników. Popołudniami, które spędzali po jego powrocie z pracy mówiła mu o nowo poznanych sąsiadach, ich problemach, o których zechcieli jej opowiedzieć, o Haroldzie, zmutowanym, ale sympatycznym gawędziarzu z domu obok, o codziennym życiu obywateli The Hub. Jonny był pełen podziwu i czasem po prostu nie mógł zrozumieć, jak Evelyn udaje się tak szybko zjednać sobie życzliwość innych.

Jack natomiast powoli przygotowywał się do kolejnej podróży. Planował wyjechać około dziesiątego listopada, tak żeby wrócić najpóźniej na kilka dni przed

Nowym Rokiem. Evelyn pomagała mu w doborze wyposażenia i uzupełnienia ekwipunku. Jack był jej za to bardzo wdzięczny.

Jonathan pracował u Shoutee'ego już tydzień. Szef biura odpraw karawan był z niego bardzo zadowolony, choć nie mówił mu tego wprost. Jonny widział jednak, że sposób w jaki traktuje go jego szef pozwala mu wysnuwać takie wnioski. Poza tym Jack, którego karzeł Norman był dobrym znajomym, a jak się później okazało – również dłużnikiem, przekazywał Jonathanowi te miłe słowa.

W piątek, na dwa dni przed wyjazdem Jacka, Jonathan wypełniał ostatnie dokumenty. Kończył zmianę i jednocześnie tydzień, wykonywał podsumowanie i bilans. Norman pomagał mu, stojąc na krzeselku i przerzucając papiery, dyktował kolumny liczb. Na zewnątrz było już ciemno. Nagle ktoś zapukał do drzwi biura, które od kilku dni pozostawały zwykle zamknięte – dni były już zimne. Norman, zląkwszy się nieco, zaklął cicho pod nosem i zeskoczył z krzeselka. Otworzył drzwi. Przed progiem stała wychudzona, krótko obcięta kobieta.

- Dzień dobry – powiedziała słabym głosem. – Przyjmie pan jeszcze jedną karawanę?...

Norman zrobił wyraźnie niezadowoloną minę.

- Co jest?! – fuknął na kobietę. – Nie potraficie tak zaplanować podróży, żeby zdążyć przed zmrokiem?!

- Przepraszam – odpowiedziała, a w jej oczach zaszklily się łzy. – Straciliśmy połowę załogi...

- Bandyci? – zapytał Norman, ale już znacznie łagodniej. Jonathanowi mocniej zaczęło bić serce.

- Nie... mutanci...

- Cholera – zaklął ponownie Norman. – Chyba zrobimy wyjątek. Jon, weź formularze i chodź ze mną – rzekł do Jonathana, zdjął z wbitego w ścianę gwoźdźca latarkę i szybko wyszedł z biura. Kobieta poszła za nim. Jonathan wziął potrzebne papiery i ruszył za nimi.

„Skąd ja ją znam?...”, zastanawiał się idąc ku karawanie. Miał wrażenie, że kiedyś już spotkał tę krótko ostrzyżoną kobietę. Jej głos brzmiał bardzo znajomo. Była strasznie wychudzona, widać było po niej skutki wyczerpującej wędrówki i niedawnej walki.

Po chwili doszli do karawany, a raczej tego, co z niej zostało. Dwójka zmęczonych i przestraszonych kobiet stała tuż obok pojedynczego, zrujnowanego wózka. Na nim leżał nieprzytomny mężczyzna. Bramin był ranny w bok, jedna z jego głów kołysała się, zwisając bezwiednie. On również był wykończony, zwłaszcza, że, jak zauważył Jonathan, był zmuszony do ciągnięcia przyczepy na samych felgach.

- O, cholera... – ponownie zaklął Norman na ten wstrząsający widok. – Dobra, Jon, nie ma co ich teraz spisywać. Biegnij szybko po doktora.

Jonny kiwnął głową i biegiem skierował się ku centrum miasta, wciąż zastanawiając się skąd kojarzy przewodniczkę karawany. Po około piętnastu minutach wrócił na Przedmieścia z lekarzem. Doktor Warren zajął się rannym mężczyzną. Pozostała trójka odpięła przemęczonego bramina od przyczepy. Zwierzę uszło kilka kroków i padło na ziemię. Kobiety podeszły do leżącego byka. Łzy zaczęły im lecieć po twarzy

Doktor Warren spojrzął na martwego bramina i westchnął.

- To nie koniec przykrych wieści – powiedział cicho, zwracając się ku kobietom. – Wasz towarzysz również odszedł. Myślę, że kilka godzin temu. Przykro mi.

Jedna z kobiet upadła na kolana, szlochając. Pozostałe schyliły się do niej i przytuliły ją. Jonathanowi coś stanęło w gardle i nie mogło przemieścić się niżej...

Wspólnie z doktorem Warrenem odprowadzili kobiety do szpitala. Mężczyzna, który zmarł okazał się być bratem jednej z wędrujących. Shoutee zorganizował przeniesienie jego ciała do miejscowej kostnicy.

Przed gabinetem doktora Warrena czekała Evelyn.

- Evelyn, wybacz, ale dzisiaj odpuścimy leczenie... Sama widzisz... – powiedział cicho doktor.

Podczas gdy lekarz zajmował się wciąż płaczącą siostrą niedawno zmarłego oraz jej towarzyszką, Jonathan pokrótce opowiedział jej o niedawnych wydarzeniach. Była wstrząśnięta niemniej niż on sam. Po kilkunastu minutach pojawił się Norman. Oświadczył Jonny'emu, że wszystko załatwione i dzisiaj ma już wolne, i opuścił szpital.

Kiedy Jonny wraz z Evelyn również zbierali się wyjścia, podeszła do nich przewodniczka karawany i powiedziała:

- My się znamy...

Jonathan spojrział na nią. Znał te oczy, pamiętał je. Ale znał je wesole i żywe, a nie zmęczone i smutne. Pamiętał je również pełne szoku i złości, kiedy... byli wyrzucani z karawany przez jej dowódcę, Bruno Hawke'a.

- Ty jesteś Natalie... – powiedział cicho.

Dziewczyna kiwnęła głową. Evelyn również ją sobie przypomniała. Uścisnęła ją.

- Natalie, mój Boże... – zaczęła, ale jakby nie potrafiła znaleźć słów. – Co się... z wami stało?... Słyszeliśmy, że Bruno zginął, ale nie wiedzieliśmy co z resztą... Co z Maurerem?

- Nie żyje... Długo by opowiadać... – szepnęła Natalie i ponownie z jej oczu popłynęły łzy.

Evelyn również posmutniała.

- Masz gdzie mieszkać? – zapytała.

Natalie pokręciła głową.

- Jechaliśmy do Los Angeles – odrzekła. – Napadło na nas grupa mutantów, wielkich zielonych bestii – zadrżała. – Nie, nie znam tu nikogo. Nie mamy gdzie się podziać...

Doktor Warren otworzył drzwi swojego gabinetu.

- Te dwie panie muszą zostać – oświadczył. – Pani jest zdrowa, zmęczona, ale bez urazów – zwrócił się do Natalie. – Może pani wynająć sobie jakiś pokój, czy... ja nie mam już więcej miejsca, niestety.

- Zajmiemy się nią – rzekł Jonathan. – Dziękujemy, doktorze.

Natalie spojrzała na niego pytająco.

- Mieszkamy u naszego przyjaciela, Jacka – powiedział do niej ciepło. – Też jest karawaniarzem. Myślę, że nie będzie miał nic przeciwko twojej wizycie.

Natalie uśmiechnęła się i ponownie rozplakała. Evelyn przytuliła ją i ruszyli w kierunku Starego Miasta.

W domu czekał na nich Jack, pakował ekwipunek przed wyprawą. Natalie jadła przygotowaną przez Evelyn kolację, a robiła to tak zachłannie, jakby nie miała nic w ustach od kilku dni. Jonny opowiedział wszystko Jackowi. Był poruszony, ale i zaniepokojony.

- Mutanci... – powiedział jakby do siebie. – To komplikuje sprawę. Słyszałem o nich, ale jeszcze nie miałem z nimi do czynienia.

Jonathan i Evelyn nie bardzo wiedzieli o czym była mowa, więc tylko słuchali. Natalie skończyła posiłek.

- Są wielcy – powiedziała cicho. – Naprawdę ogromni. Dwa razy więksi i chyba z dziesięć razy szersi. Mają zieloną skórę i ohydne mordy, a w łapskach trzymają broń, jaka zamontowana jest na tych robotach broniących Vault City. Takiej siły jeszcze w życiu nie widziałam – dodała, przez chwilę skupiając wzrok na leżącym na stole widelcu. Zrobiło się cicho, Jonathan spoglądał na dziewczynę ukradkiem, Jack za to wpatrywał się w nią bardzo uważnie. Evelyn powiedziała szeptem, ale wszyscy wyraźnie ją słyszeli:

- Natalie, jeżeli nie chcesz o tym opowiadać...

Przerwała jej gwałtownym ruchem głowy, nie odrywając wzroku od widelca. Po chwili westchnęła i spojrzała na Evelyn.

- Jechaliśmy w sześć osób. Mieliśmy postój, rutynowe pojenie braminów. Wszystko szło normalnie, kiedy nagle... – ponownie westchnęła. – Usłyszeliśmy jakiś hałas, serię strzałów i jakiś okropny ryk. Chłopaki chwycili za broń. Po chwili te bestie wyszły zza lasu. Od razu ruszyły w naszą stronę. Baliśmy się strasznie, ale nie mieliśmy wyjścia. Musieliśmy walczyć. Zaczęliśmy strzelać. Byki ryczały i to chyba do końca rozwścieczyło mutantów. Rzucali w nas kamieniami, wielkimi jak ich łby. Jeden trafił Jenny w nogę. Na nasze szczęście tylko jeden z nich miał prawdziwą broń. Sambor krzyknął: „Rzucajcie granatami!” Tak zrobiliśmy, ale oni byli sprytni. Gdy tylko granat doleciał do któregoś, ten go od razu podrzucił wysoko do góry. Jednemu się jednak nie udało i granat wybuchł tuż obok jego głowy. Ten z bronią chyba miał z nią problem, bo pewnie dużo wcześniej zaczęłby z niej strzelać. W końcu chyba zdołał ją naprawić. Sambor i Adam... po prostu ich przepołowiło... – Natalie zduśiła w sobie płacz. Przelknęła ślinę i mówiła dalej: – Temu drugiemu chyba się to bardzo spodobało, bo stanął i zaczął skakać w miejscu i klaskać w dłonie. Wtedy Rick rzucił granatem prosto w jego wielki łeb. Ten z bronią wściekł się i zaczął biec w kierunku Ricka. Zostawił broń. Zobaczyłam to i wtedy się ocknęłam. Zaczęłam strzelać w niego z pistoletu! – Natalie rozgorączkowała się. – Strzelałam, strzelałam i...! Ale nic nie czu! Kule wbijały mu się w ramię, a on nic! Rozumiecie to?! NIC!!! Złapał Ricka i... rzucił nim... Po prostu cisnął nim jak lalką... Jenny podała mi granat, obie podbiegłyśmy i rzuciłyśmy... Stracił głowę...

Jonathan nie wiedział kompletnie, co powiedzieć. Na szczęście miał Evelyn.

- Czyli wam nic się nie stało? – zapytała po dłuższej chwili. – Tobie i twoim przyjaciółkom?

- Tak... – odrzekła cicho, wpatrując się tym razem w swoje kolana. – Ale co z tego... Sally straciła męża. A Rick, brat Jenny, zmarł, jak się okazało, zaledwie dzień później. Straciliśmy też jednego bramina, który przygniótł Sally, gdy ginął. A mieliśmy nieco ponad dwa dni drogi do miasta.

- Skąd wędrowaliście? – zapytał Jack.

- Z północnego zachodu – odrzekła Natalie, patrząc mu prosto w oczy. – Musieliśmy zboczyć z trasy z Junktown, bo zauważyliśmy obozowiska. Myśleliśmy, że to bandyci.

Jack pokiwał głową i zamyślił się. Evelyn podeszła do Natalie, ale ona sama, najwyraźniej potrzebując bliskości, przytuliła ją z całych sił, jak najlepszą przyjaciółkę. Evelyn, nieco zaskoczona, odwzajemniła uścisk.

Jonathan natomiast przez chwilę walczył z sobą. Bardzo chciał zapytać Natalie, ocalałą członkinię karawany Hawke'a, o szczegóły jego śmierci. Być może dowiedziałby się czegoś o swoim bracie. Wiedział też jednak, że zebrałby niezłą burę od Evelyn za wymuszanie na niej kolejnych bolesnych wspomnień. Myślał szybko i w

końcu doszedł do wniosku, że Natalie jakoś będzie musiała to przeżyć – ważniejsze jest bezpieczeństwo jego bliskich.

Nie zdążył jednak zadać jakiegokolwiek pytania, bo Natalie rzekła:

- Dziękuję wam za pomoc – powiedziała, patrząc przez łzy na niego, Evelyn i Jacka, na którym na moment dłużej zatrzymała wzrok. Po chwili westchnęła i powiedziała: - Chcę wam opowiedzieć jeszcze o jednym. Czuję, że jestem wam to winna i częściowo odpowiedzialna za to, czego kiedyś doświadczyliście. Z resztą, myślę, że Mauner też życzyłby sobie tego.

Jonathan przełknął ślinę i spojrzał na Natalie. Ona również utkwiała w nim wzrok i zaczęła mówić:

- Na początku sierpnia wróciliśmy do New Reno. Nie było sensu na dalszą podróż do Hub, przekroczyliśmy czas. Całą podróż nie odezwaliliśmy się do Bruno ani słowem. No, może nie wszyscy, ale ja i stary Jonas zawzięliśmy się. Bruno każdego dnia powtarzał, jakby chciał sam siebie upewnić, że to, co zrobił było słuszne. Ale wiedział, że zrobił źle. Dużo o was wtedy rozmawialiśmy, oczywiście – bez Bruno. On chyba jednak słuchał. I to całkiem wnikliwie. I zaczynał mieć wyrzuty sumienia. To było po nim widać. W każdym razie po kilkunastu dniach byliśmy z powrotem w Reno. A tam.... Miasto huczało od przerażających wieści – pastor Julius, brat Bruno, został bestialsko zamordowany na zlecenie tego Salvatore. Podobno on sam przypatrywał się egzekucji, pił whiskey i wesoło nucił „Good Morning Sunshine”. Wyobrażacie to sobie? – Natalie aż pokręciła głową, jakby nadal nie mogła w to uwierzyć. – Bruno od razu pojechał na Golgothę. My razem z nim. Faktycznie, pastor był tam... To był najstraszniejszy widok w moim życiu. Chłopcy pomogli mu zdjąć... pastora... i pogrzebali go. Nie zostawiliśmy tabliczki z imieniem, żeby Slavatore nie wrócił i nie zbeczczył jego zwłok... Naprawdę trudno mi o tym mówić. Do dzisiaj mam o tym koszmary. W każdym razie prawdziwy koszmar miał dopiero nadejść. Bruno podziękował nam za pomoc i wskoczył na swojego bramina i pognął w kierunku miasta. Nick, Mulder i Mauner pojechali za nim. Ja z Jonasem byliśmy wolniejsi, mieliśmy przyczepę, ale ciągle ich widzieliśmy. Zginęli nam z oczu już w samym mieście. Wiedzieliśmy gdzie jechać, mieliśmy co najwyżej dziesięć minut straty. W barze... zdążyło rozpętać się piekło. Zrobiło się zbiegowisko. Widzieliśmy z Jonasem jak Gianni Salvatore i Mark Thomas wychodzą z środka. Salvatore głośno nawoływał ludzi, by „przybyli obejrzeć spektakl”. Tak krzyczał. Po chwili z baru wypadli skrępowani Bruno i Mauner, wypchnięci przez ludzi Salvatore. Zaprowadzili ich na środek skrzyżowania i zmusili do ukłęknięcia. Dobrze, że Jonas mnie wtedy trzymał mocno za rękę, bo zapewne nie rozmawialibyśmy tu teraz. Salvatore krzyczał: „Oto człowiek! Człowiek, który odważył się wystąpić przeciw Gianni’emu Salvatore! Tak, moi kochani, ujrzycie obraz kary, bolesnej kary dla brata heretyka, który kilka tygodnie temu karmił was żalonymi wymysłami o domniemanej wolności, wiary w jakiegoś Boga, zapomnianą, starożytną religią. I po co? Żeby zginąć. On też mógłby żyć, gdyby jego przyjaciel powstrzymał go szybciej. W nagrodę – zginie pierwszy!” Wtedy Mark Thomas podszedł do Maunera i strzelił mu w głowę – Natalie zatrzymała się na moment. – Ja zemdlalam. Resztę opowiedział mi Jonas. Salvatore mówił coś jeszcze, jakieś idiotyzmy, jak te przed zastrzeleniem Maunera. A Bruno... Bruno roześmiał się, a kiedy Salvatore nachylił się do niego, splunął mu w twarz. Wszyscy zamilkli. Nawet ten zbir. A do Thomasa powiedział tylko: „Jonathan żyje i ma się dobrze”. Obaj, Thomas i Salvatore, byli podobno w szoku. Thomas chyba jeszcze szarpnął nim i próbował się czegoś dowiedzieć, ale Bruno tylko się śmiał. Tak mi mówił Jonas. Na koniec Bruno zginął z ręki samego Salvatore.

Natalie skończyła. Zapadła głucha cisza. Evelyn otarła twarz i powiedziała:

- A Jonas?
- Zmarł tydzień później – odrzekła Natalie. – Nie mógł znieść odejścia Juliusa i Bruno. Mulder i Nick gdzieś przepadli, nie słyszałam już o nich.

Jonathan wstał, podszedł do niej i powiedział tylko:

- Dziękuję. Oboje z Evelyn dziękujemy.

Natalie uśmiechnęła się blado.

- Chociaż tyle mogłam dla was zrobić – powiedziała cicho. – Za tę całą krzywdę, jaką wyrządził wam Bruno.

Jonny spojrzał na nią z wdzięcznością. Evelyn trzymała ją za rękę. Jedynie Jack siedział nieco osowiały i nieobecny.

- Co jest? – zapytał go Jonathan.

Jack nic nie odpowiedział, wstał i podszedł do podniszczonego kredensu. Wyjął z niego butelkę. Podszedł do stołu i rzekł:

- Nigdy więcej...

Jak wiele te słowa teraz znaczą... Jonathan domyślał się, że Jack mógł bardzo mocno przeżyć ostatnią godzinę. Musiał być to dla niego szok. Ale jednocześnie jeszcze silniej zacieśniła się więź między nimi. Tworzyła się przyjaźń na śmierć i życie. Jack znał już całą okrutną historię. Wiedział też, że Natalie zostanie z nimi – przeżyła naprawdę wiele, więcej niż on i Evelyn, bo straciła najbliższą osobę. Wiele ich łączyło i tak musiało pozostać, bo tak naprawdę mieli już tylko siebie. Patrzyli sobie w oczy bez słów i wiedzieli, że razem uda im się przetrwać.

Jack wyruszył w podróż w poniedziałek wczesnym popołudniem. Jako że na trasie jego podróży widniały ruiny dawnej metropolii, Los Angeles, Jenny i Sally zabrały się razem z nim. Stwierdziły, że mają tam rodzinę, więc wykorzystały okazję powrotu do domu. Doktor Warren odradzał im wędrowkę, przynajmniej jakiś czas powinny według niego odpoczywać, ale one grzecznie podziękowały mu za okazaną pomoc i stanowczo ruszyły z Jackiem. Jego karawanę żegnały Evelyn i Natalie, Jonathan również był przy tym, ale musiał wykonywać swoje obowiązki. Nie przeszkodziło to jednak na wymianę serdeczności pomiędzy przyjaciółmi.

Życie Jonny'ego i Evelyn oraz Natalie zaczęło wyglądać normalnie. Dla ludzi pragnących przygód byłoby ono nudne, ale zwyczajność bijąca z codziennych obowiązków, rozmów i przyjaźni była dla tej trójki najwspanialszą nagrodą za wszystkie cierpienia jakie musieli przeżyć. Przez następne tygodnie, aż do powrotu Jacka na początku grudnia, wiedli spokojny, ustabilizowany żywot normalnych obywateli. Wreszcie.

W mieście w końcu zaczęto mówić głośno o planowanej akcji policji przeciw działalności Deckera. Plotki nie miały jednak swojego uzasadnienia, były po prostu nieprawdziwe. A raczej niezupełnie prawdziwe. Shoutee oznajmił Jonathanowi w największej tajemnicy, że szeryf Smith i jego zastępca Justin Greene wcale nie planują „zmasowanego ataku wszystkimi możliwymi siłami” na siedzibę Deckera, jak mówiono w Hub. Mieli świadomość, że może się to skończyć strzelaninami, przelewem krwi i ogólnym chaosem, który Decker mógłby wykorzystać do własnych celów. Chcieli natomiast w miarę możliwości i wszelkimi możliwymi sposobami ukrócić do minimum działalność bandyty – odciąć go od dostaw nielegalnej broni i narkotyków, których rozprowadzaniem się zajmował, zerwać siatkę kontaktów w rozbudowanym już w znacznym stopniu podziemiu The Hub i zakończyć szpiegostwo. Zwłaszcza teraz, pod nieobecność bossa i przy kierownictwie jego następcy, który nie należał do najbystrzejszych, uważali, że to niepowtarzalna

szansa. Plan już był opracowany i wdrażany. Dlatego też plotki o rzekomym ataku ludzi Smitha na pewno nie pomagały szeryfowi. Z pewnością wywoływały one w Kane'ie odpowiednie reakcje, czyli podjęcie działań jakie wyznaczył mu Decker w razie takiej sytuacji.

Jonathan mocno wierzył, że wszystko pójdzie zgodnie z planem szefa policji The Hub. Wciąż miał w pamięci słowa Jacka o możliwości zwerbowania jego brata i sprowadzenia go tutaj, a to oznaczało dla niego pewną śmierć. Dla niego, jego narzeczonej i jego przyjaciół. Długo rozpamiętywał opowieść Natalie, przeczuwał... nie – wiedział, że Mark Thomas będzie go nadal szukał. Jednocześnie czuł, że jest gotowy na spotkanie z nim. Imponowała mu bardzo postawa Bruno Hawke'a, nie miał do niego żalu. Mógł jedynie brać z niego przykład jak walczyć, jak ginąć z godnością i w świetle chwały, wygrywając sobie życie.

Czas płynął, zbliżały się święta. Cięża Evelyn wymogła na niej spędzanie większości dnia w łóżku, czego sumiennie pilnowała Natalie. Do południa pracowała ona w aptece, nieopodal ich domu, później spędzała czas wspólnie z narzeczoną Jonny'ego. Doszła już do siebie po wydarzeniach z listopada, poprawiła swój wygląd dzięki obiadom Evelyn i generalnie odżyła trochę, ale jej oczy nie odzyskały już dawnego blasku. Czemu z drugiej strony trudno się dziwić...

Evelyn wyzdrowiała. Mimo że noga czasem jej dokuczała, to dzięki opiece doktora Warrena wszystko było niemal w idealnym porządku.

Jack wrócił z drugiej wyprawy, w którą udał się pod koniec pierwszego tygodnia grudnia i święta spędzali w czwórkę. Jonathan i Evelyn pobrali się w pierwszy dzień nowego roku. Świadkami na ich ślubie byli oczywiście Natalie i Jack, tego samego dnia świeżo upieczeni nowożeńcy poprosili ich, by zostali również rodzicami chrzestnymi ich przyszłego dzidziusia. Natalie oświadczyła, że jest to najszczęśliwszy dzień w jej życiu. Jonathan czuł to samo i patrząc na Evelyn wiedział, że i ona jest w niebie na ziemi.

Mijały kolejne dni. Jack wyjechał w kolejną podróż w połowie stycznia. Jonathan zaś z ochotą przychodził do pracy, w której sprawdzał się znakomicie. Niejako w nagrodę karzełek Shoutee informował go o postępach pracy policji w zwalczaniu szkodliwej działalności Deckera i Kane'a. „Maltese Falcon” został zamknięty, naprawdę mało słyszało się już o szantażach, sabotażach, czy innych przykrych sytuacjach, jakie musieli przeżywać niektórzy bardziej zamożni obywatele miasta. Mieszkańcy The Hub czuli się bezpieczniej, dzięki wspaniałej działalności szeryfa Smitha i Justina Greene'a.

Shoutee dostarczał Jonny'emu informacje, on sam zaś monitorował to, co działo się na przedmieściach. Karawany były liczniejsze, z każdym tygodniem przyjeżdżało i wyjeżdżało ich coraz więcej. Jonathan był przekonany, że ataki bandytów są rzadkie. Potwierdzali to również karawaniarze, narzekali jednak na coraz częściej spotykane maszerujące oddziały wielkich, zielonych stworów. Mutanci mogli zatem stanowić przyczynę rzadszych ataków gangów, które prawdopodobnie po prostu bały się ich i unikały konfrontacji z ogromnymi bestiami, przenosząc obszar działań na wschód. „Samoistne zwalczanie żywiołu żywiołem”, jak mówił Shoutee. W każdym razie karawaniarze wiedzieli, że łatwiej jest uciec kilku często nieuzbrojonym, powolnym potworom niż dobrze zorganizowanej grupie z bronią palną czy nawet białą.

Sielanka trwała aż do powrotu Jacka z styczniowej wyprawy. Była ona bardzo długa, trwała prawie sześć tygodni. Po powrocie Natalie wzięła go pod swoją opiekę,

Evelyn już praktycznie nie wstawała z łóżka. Podczas kolacji Jack niewiele mówił, wyglądał na bardzo zmęczonego. Większość czasu słuchał tego, co jego przyjaciele mieli do powiedzenia. Opowiadali mu o swoim codziennym życiu, o pracy, o zbliżających się wielkimi krokami narodzinach dziecka Jonny'ego i Evelyn, w końcu o wydarzeniach w mieście i działalności szeryfa Smitha. Wtedy Jack jeszcze bardziej się zasępił. Długo dopytywali go, dlaczego jest w tak złym nastroju. On tylko kręcił i spuszczał głowę. Kiedy w końcu Natalie zapytała, czy nie cieszy się, że po tak długim czasie może zobaczyć się z bliskimi, odrzekł:

- Oczywiście, że się cieszę. Jesteście dla mnie rodziną, prawdziwą rodziną. Tylko... czasem zastanawiam się, co uczynili zwyczajni ludzie tacy jak my, chcący normalnie i spokojnie żyć, że ktoś zsyła na nich ból i cierpienie... Naprawdę nie wiem...

- O czym ty mówisz, Jack? – zapytał Jonathan, ale on tylko ponownie pokręcił przecząco głową.

Evelyn dźwignęła się na łóżku i rzekła:

- Jack, czy chodzi o brata Jonny'ego?

Jack spojrzał na nią po chwili i kiwnął lekko głową. Jonathan zbladł.

- Ale przecież nic nie było o nim słyhać!... – powiedział. – Przecież... pracuję pośród karawan, pytam przewodników, rozmawiam. Musieliby coś wiedzieć...

- On jest za daleko, Jon – odrzekł Jack półgłosem. – Ludzie, których spotykasz w pracy nie wędrują aż tak daleko. Ale ja byłem blisko Reno. Dowiedziałem się wielu rzeczy.

- Dlatego tak długo nie wracałeś? – zapytała Natalie.

Jack kiwnął głową i zamilkł.

- Więc?... – zapytał Jonathan, w którego oczach zagościł strach, a do głowy dobijała się panika.

- Deckerowi spodobało się New Reno – odrzekł Jack. – Postawił tam bar, podobny do „Sokoła”, ale nieco mniejszy. Interes był szybki, ale solidny – klientów mu nie brakowało. Zaczął też prowadzić działalność podobną do tej, jaka para się Salvatore. Łatwo się domyślić, że Włoch nieźle się wkurzył. Zaczął sabotować Deckera, nasyłać na niego swoich ludzi, zastraszać. Ale on się nie dał. Prowadził biznes, mimo że czasem musiał do niego dopłacać.

- Zatem jaki miał cel? – zapytała Evelyn.

- Rozmawialiśmy już o tym – odrzekł. – Jego celem był Thomas. W końcu go podkupił i przeciągnął na swoją stronę. Salvatore wściekł się. Podobno rozgorzała tam wojna, ale Decker miał za sobą Thomasa i jego ludzi oraz swoją świtę. Stłamsili Salvatore, ale nie zabili. Decker nie jest głupi. Miał już Włocha z głowy i zwerbował Thomasa, więc nie tracił sił na wojnę z przeciwnikiem, osłabionym, ale równie sprytnym, co i on. Na koniec dowiedziałem się, że... zamierza tutaj wrócić.

Zapadła głucha cisza. Jonathan usiadł, bo zaczęło mu ciemnieć przed oczyma. Jack mówił dalej:

- Pędziłem tu jak oszalały. Zrezygnowałem z zarobku na karawanie, razem z chłopakami chcieliśmy tylko jak najszybciej wrócić do Hub. Jedynie Dan coś podejrzewał, potwierdziłem jego obawy. Jeszcze dzisiaj odesłałem ludzi do Junktown. Mają urlop, nie chcę ich niepotrzebnie narażać...

- Czyli on tu jednak jedzie? – spytał Jonathan słabo, myśląc bardziej o swoim bracie niż postrachu miasta, Deckerze.

- Tak – odpowiedział Jack. – Na pewno wolniej ode mnie, ale biorąc pod uwagę czas, kiedy się o tym dowiedziałem, może znaleźć się w Hub lada dzień.

Ponownie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Jack spuścił wzrok, Natalie bezwiednie kręciła głową, Evelyn stanęły łyzy w oczach. Jonathan miał w głowie zupełną pustkę.

- Wszystko na nic... – wyszeptał. – Wszystko stracone...

- Dlaczego tak mówisz? – przerwała mu Natalie. – Poddajesz się bez walki, Jon? Zwariowałeś?! Chcesz wszystko oddać ot tak?! – pstryknęła palcami. – Już zapomniałeś o Bruno, o Maunerze?!...

- Nic nie rozumiesz!... – krzyknął Jonathan. – Nie wiesz do czego zdolny jest mój brat! Z satysfakcją będzie mnie torturował i w końcu zabije! A na koniec strzeli w głowę wam wszystkim!...

- Dość!!! – zagrzmiał Jack, patrząc na Evelyn, która prawie dusiła się płaczem, pochylona nad krawędzią łóżka. Razem z Jonathanem pomogli jej wrócić do bezpiecznej pozycji. Wszyscy milczeli, szybko oddychając. W końcu odezwał się Jack:

- Nie poddamy się. Jutro wymyślę, jak nas przetransportować do Boneyard. To chyba ostatnie bezpieczne miejsce, mam tam kilku znajomych, na pewno nam pomogą. Jonathanie – zwrócił się ku niemu – uspokój się i nigdy więcej nie wydawaj na nas wyroków. Idź jutro do pracy i słuchaj, obserwuj jak zawsze, ale bądź ostrożny. Ja pogadam z szeryfem i Justinem. Spróbuję skombinować jakąś obstawę, czy... Nie damy się, jasne?

Nazajutrz Jonathan udał się do pracy jak zawsze, był jednak zmęczony po nieprzespanej nocy. Cały dzień jego zmysły były wyostrome do granic możliwości, ale ani razu nie usłyszał nazwiska Decker lub Thomas. Kilka razy zawitał do niego Jack. Kończył pracę kompletnie wykończony. Tej nocy spał niespokojnie, mając koszmary ze swoim bratem w roli głównej. Śnił też o ojcu.

Jackowi udało się załatwić cichy transport na następny dzień. Mieli wyruszyć bez meldowania w Biurze Odpraw późnym wieczorem. Karzeł został przez niego obeznany z sytuacją i nie miał pretensji. Dał wolne Jonathanowi od konkretnej pracy – miał on tylko pilnować, czy wróg nie zjawił się w mieście.

Od rana trwało pakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Natalie zajęła się tym z Jackiem. Popołudniu do Evelyn zawitał doktor Warren, stanowczo odradzał wyprawę przy takim jej stanie, doszło nawet do tego, że groził, że zgłosi na policję jej uprowadzenie. Jack nie chciał się z nim kłócić, ale nie miał wyjścia i w końcu odprowadził lekarza z powrotem do szpitala. Natalie została z Evelyn. Jacka nie było już dość długo. Postanowiła z Evelyn, że pójdzie przynajmniej do lecznicy, żeby go poszukać.

W tym samym czasie Jonathan stał w oknie biura, wpatrując się w półmrok. Shoutee obsługiwał przybyłą karawanę. Nie była to grupa z Thomasem. Wychylił się na zewnątrz budynku i wtedy usłyszał donośny głos, dobiegający z oddali, z głębi miasta:

- Decker wrócił!!! Decker jest w mieście!!!

Jonathan znieruchomiał. Nasłuchiwał, ale głośniejsze zaczęło być bicie jego serca.

Głos z oddali powtórzył jeszcze kilka razy:

- Decker jest w mieście!!! Decker!...

Odgłos strzału przerwał krzyki. Po chwili Jonathan zauważył, że jacyś ludzie szli szybko w kierunku biura. Chciał się schować, ale nie wiedział gdzie – było tu tak mało miejsca.

Przez drzwi wpadł Shoutee i szepnął:

- Do komórki.

Jonathan wszedł do małego pomieszczenia na wprost drzwi wejściowych.

- Otwórz klapę i chowaj się tam! – powiedział gorączkowo.

Jonathan dopiero teraz zauważył niewielkie kółeczko przytwierdzone do drewnianej deski. Otworzył klapę i wszedł do niewielkiej dziury. Czekał. Shoutee zamknął drzwi do komórki.

Po chwili usłyszał jakieś głosy. Nie znał ich, a raczej nie mógł rozpoznać. Poznawał tylko wysoki głos Normana. Po kilku minutach jego uszu dobiegło gwałtowne szuranie po drewnianej podłodze oraz protesty Shoutee'ego:

- Puszczaj, zbirze... Puszczaj!...

- Spokój! – zagrzmiął niski głos. Ten koszmarny głos, który Jonathan tak dobrze pamiętał.

- Czy znasz Jonathana Thomasa? Odpowiadaj, karle! – syknął Mark Thomas.

- Nie znam żadnego Jonathana – pisnął Shoutee buńczucznie, ale z wyraźnym strachem. – Proszę, oto mój jedyny pracownik – zaszeleścił kartką, z pewnością z danymi osobowymi Jonathana, który złapał się za głowę. – Na pewno nie nazywa się Thomas!...

- Milcz! – uciszył go Mark i porwał od niego papier. Przez chwilę panowała cisza. – Wychodzimy! – oznajmił.

Po kilku chwilach Shoutee otworzył klapę Jonathana.

- Już w porządku, poszli... hej! – zaczął, ale przerwał, bo Jonny odepchnął go i wybiegł z biura. Pędem skierował się ku domowi Jacka między innymi budynkami za szpitalem, drogą dłuższą, ale przynajmniej nie taką, na jakiej każdy mógł go ujrzeć.

Biegł z całych sił, w głowie miał zamęt.

„Cholera! Cholera! Zaraz się tam zjawi! Przecież tam był adres!...”, myślał gorączkowo. „Dowie się od kogoś i...”

W końcu dobiegł do domu. Wpadł przez otwarte drzwi.

- Evelyn! Evelyn!

Ale nikt nie odpowiadał.

- Evelyn, gdzie jesteś?!

Ruszył w kierunku kuchni, ale nagle przypomniał sobie o zamknięciu drzwi wejściowych. Podbiegł do nich, złapał za klamkę i już miał je zatrzaskać, kiedy ogromny, czarny, skórzany but zatrzymał bieg drzwi. Jonathan odruchowo pchnął je ku futrynie, ale znacznie silniejszy człowiek po ich drugiej stronie z łatwością poradził sobie z jego wysiłkami. Odepchnięty Jonathan wpadł na stół. Do mieszkania wszedł Mark Thomas.

Jonathanowi wydawał się jeszcze potężniejszy niż podczas ich ostatniego spotkania w Redding. Poza tym wyglądał niemal identycznie, na jego twarzy pojawiła się ta sama mieszanina wściekłości i dzikiej satysfakcji. Zamknął za sobą drzwi i przez moment nie odrywał wzroku od Jonathana, w końcu rzekł czarnym jak jego ubiór głosem:

- Witam cię, mój bracie.

Jonathan nie odpowiedział, sparaliżowany strachem.

- Nie cieszysz się? – zapytał, jak niegdyś. – Ja się ogromnie cieszę.

Jonathan nadal milczał patrząc prosto w jego zimne i puste oczy. Tak podobne do oczu ojca, ale jakże inne.

Mark rozejrzał się po domu i zaczął iść w kierunku okna.

- No, ładnie się urządziłeś – powiedział z uśmiechem. – Całkiem ładnie...

- Czego chcesz?! – Jonathan w końcu odezwał się.

- Ja? Chciałem się tylko spotkać z moim ukochanym bratem – powiedział cicho z złośliwym uśmiechem.

Jonathan obszedł stół z lewej strony. Mark podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Po chwili spojrzął się na niego i rzekł już innym tonem:

- Ładnie mnie załatwiłeś w Redding, wiesz? Naprawdę mi zaimponowałeś. Długo zastanawiałem się, kto mnie wtedy ogłuszył. Ojciec? Nie... przecież był już zimny...

- Przestań o nim mówić!... – przerwał mu Jonathan gniewnie, ale to jeszcze bardziej rozzłościło Marka.

- Nie podnoś głosu, bo zginiesz o wiele szybciej – wycedził przez zęby. – Chociaż masz rację, jego nie warto nawet wspomnieć...

- Wierz mi, że gdyby cokolwiek ci się stało, tylko on płakałby po tobie – odrzekł cicho Jonathan. – Tylko on...

Mark przez chwilę jakby nie wiedział, co powiedzieć, ale zaraz z powrotem pojawił mu się na twarzy pogardliwy uśmiech.

- Niech spoczywa w pokoju – zaśmiał się złośliwie. – Wiesz, zastanowiło mnie, co miał na myśli ten śmieszny karawaniarz. Eagle? Nie, „Eagle” wpakował w niego kulkę – zaśmiał się ponownie. Jonathan kierował się ku kuchni, ale powoli tracił czucie w nogach. – Ach, już wiem – Hawke. Tak jak ta klecha. Wiesz, co powiedział? Jak to było?... „Jonathan zabije cię, gnoju...” Uwierzysz, powiedział do mnie „gnoju”!... „W końcu ich ucieczka zamieni się w siłę. Prawdziwą, jakiej ty nigdy nie doświadczysz”. Ciekawe, prawda? Nad tym też myślałem i stwierdzam, że chyba się jednak pomylił. Nawet nie masz pastucha, żeby mnie pogonić – prychnął. – Wtedy też uświadomił mi, kto uratował cię w Redding. Oczywiście, twoja kobieta.

Jonathan zatrzymał się. Wiedział, że teraz już nie uda mu się wywinąć. Nie ma tu Evelyn, która mogłaby znów go uratować, nie ma Jacka, Natalie, kogokolwiek. Ale nie zamierzał się poddawać. Jack uświadomił mu to wczoraj.

Mark Thomas mówi dalej:

- W porządku, cieszę się, że znalazłeś sobie miłość. Ja swoją mam od dawna – wyciągnął pistolet, podobny do tego, którego Evelyn zabrała mu w Redding. Spojrzął na niego z czułością. – To moja miłość. Jest szczerą, nie zdradzi cię, obroni, potrafi być wdzięczna. Za to twoja zginie wraz z tobą jeszcze tej nocy... Ale najpierw, ty Jonathanie. Powiedz, dlaczego zmieniłeś nazwisko? Czy nazwisko Thomas nie jest ciębie godne?

- Ty nie jesteś godzien je nosić! – krzyknął Jonny. Mark wściekł się do końca.

- Co ty wiesz o życiu, wychuchany paprochu – wycedził przez zęby z okropnym grymasem na twarzy. – Niczego sam nie osiągnąłeś, wszystko zawdzięczasz komu innemu. A ja? Do wszystkiego doszedłem sam, na wszystko zapracowałem własnymi rękoma. Ty zawsze psułeś, podważałeś to, na co ja harowałem – w jego oczach zapłonął żywy gniew. Patrzył się na Jonathana bez mrugnienia okiem. – Nie wiesz jak to jest! Jak to jest żyć bez domu! Jak to jest być lekceważonym! Wbrew sobie na swoim! Bez perspektyw! Jak taki toczący się, nikomu niepotrzebny głaz!... Ja wiedziałem, dlatego postanowiłem zająć się tym, co do tej pory robię. I w czym jestem najlepszy. Ty tego nie wiesz. I nigdy się nie dowiesz – podniósł pistolet i wycelował w Jonny'ego. – Teraz, Jonathanie, dołączysz do swojego ojca, równie bezużytecznego dla świata jak i ty...

- Ach, zamknij się już! – ku zaskoczeniu Jonny'ego zza tobołków po jego prawej stronie za stołem wyłoniła się Evelyn ze strzelbą w rękach. Zanim Mark zdążył się zorientować pociągnęła za spust.

Zachwiał się i spojrzał na swój tors, z którego zaczęła sączyć się krew. Jonathan stał kompletnie zszokowany. Mark skierował wzrok na Evelyn, podniósł rękę i strzelił. Evelyn wrzasnęła z bólu. Jonathan odzyskał świadomość. Rzucił się na brata i przewrócił go na podłogę. Próbował sięgnąć jego broni, ale ten skutecznie go odpychał, jego siła fizyczna, mimo ran, wciąż była ogromna. Przez chwilę szamotali się. Padł kolejny strzał. Mark znieruchomiał.

Jonathan spojrzał na twarz brata. Zrobiło mu się niedobrze. Evelyn strzeliła prosto w jego głowę.

- Jonny, pomóż... – wydusiła z siebie.

Jonathan ocknął się i podbiegł do niej. Spojrzał na jej nogę – prawa łydka obficie krwawiła. Zgarnął leżącą na stole szmatę i zawiązał wokół rany. Starał się wyciągnąć ją z za łóżka, ale nie miał wystarczająco siły. Wybiegł przed wejście i krzyknął:

- Na pomoc, pomóżcie mi!!!

- Uspokój się – usłyszał z lewej strony znajomy głos. Jack wepchnął go z powrotem do mieszkania, rzucił okiem na martwego Marka. Podbiegli do Evelyn. Wspólnymi siłami zaczęli odciągać ciężką kanapę.

- Nie ma co zwoływać niepotrzebnych ludzi – powiedział cicho Jack. – Natalie już pobiegła po lekarza.

Po chwili odciągnęli kanapę. Wtedy Jonathan krzyknął z przerażeniem:

- Co to jest?!

Lewy bark Evelyn, który do tej pory był dla niego niewidoczny, był przestrelony na wylot. Mark musiał oddać strzał, kiedy Jon sprowadził go już do parteru, w tym samym momencie, co Evelyn. Jack i Jonathan z największą ostrożnością wyciągnęli ją z za łóżka i ułożyli w pozycji siedzącej. Dziewczyna była blada jak ściana i szybko, płytko oddychała.

Jack wypadł z mieszkania. Jonathan ucisnął krwawiącą ranę na ramieniu Evelyn. Spojrzała się na niego i lekko uśmiechnęła.

- Oby tylko dziecku... – szepnęła.

- Cii, nie trać sił – przerwał jej Jonny. Z jego oczu popłynęły łzy. – Jak mam ci dziękować?... – wyszeptał.

Evelyn pokręciła lekko głową.

- Jonny, proszę cię... – powiedziała. – Nadaj naszemu synowi imię Josh... Tak miał na imię mój ojciec...

- Evelyn, co ty mówisz?! – w głosie Jonathana zabrzmiała panika. – Doktor Warren zaraz tu będzie... wyleczy cię i...

- To był dobry człowiek... – Evelyn mówiła dalej. – Zginął... z ręki bandytów...

- Evelyn!...

Dziewczyna mdlała. Jonathan nie wiedział, co robić. Gładził ją po twarzy i włosach, krzycząc jej imię. Drzwi do mieszkania znów się otwały. Weszli Jack, Natalie i doktor Warren. Lekarz od razu podbiegł do półprzytomnej dziewczyny.

W tym czasie Jack ponownie zerknął na ciało Thomasa i zwrócił się do Jonny'ego:

- Musimy uciekać, masz tego świadomość?

Jonathan kiwnął głową, patrząc się na sprawne ruchy doktora wokół Evelyn.

- Natalie, chodź ze mną – powiedział i ruszył w kierunku kuchni. Dziewczyna poszła za nim. Jonathan kucnął przy lekarzu.

- Czy mogę jakoś?... – zaczął, ale doktor Warren przerwał mu szybkim ruchem głowy. Evelyn wciąż była blada, ale odzyskiwała kontakt z rzeczywistością. Uchyliła powieki i spojrzała na Jonathana.

- Evelyn, słyszysz mnie?... – zapytał Jonny. Kąciki ust dziewczyny drgnęły. Po chwili jednak zacisnęła mocno powieki. Jonathan mógł się tylko domyślać jaką mękę przechodzi jego ukochana w tym momencie.

W tym czasie Jack i Natalie spakowali w dwa niewielkie worki najpotrzebniejsze rzeczy. Jack powiedział, że zaraz wróci i ponownie wypadł z mieszkania. Natalie kucnęła obok Jonathana i położyła dłoń na jego ramieniu.

Jonathan przeżywał w tej chwili prawdziwą katorgę. Nie chciał myśleć, co będzie dalej, gdzie pojedą, jak będą żyć. Chciał tylko, by Evelyn była zdrowa, radosna i uśmiechnięta jak zawsze. Niczego więcej nie pragnął, jak tylko tego. Spojrzał ukradkiem na ciało swojego brata, ale szybko odwrócił od niego wzrok. Tyle zawdzięczał Evelyn – dwa razy uratowała mu życie, a teraz sama... I dlaczego? Dlaczego właśnie ona?

Jack wrócił akurat wtedy, gdy doktor Warren skończył zajmować się Evelyn.

- Podróż nie jest wskazana, ale... – zaczął, ale Jack przerwał mu:

- Panie doktorze, nie mamy... – lekarz uciszył go jednym gestem.

- ...ale wspólnie ulokujemy jakoś panią Evelyn na wagonie – dokończył. – Ma pan już jakiś?

Jack kiwnął głową. On, Jonathan, Natalie i doktor wynieśli Evelyn przed dom. Na zewnątrz Jonathan spodziewał się ujrzeć tłumy gapiów, ale nikogo nie było. Tuż obok wejścia stała przyczepa, zaprzężona w jednego bramina. Ostrożnie ułożyli na niej Evelyn. Po kilku minutach byli gotowi do drogi.

Jonathan spojrzał na doktora Warrena ze łzami w oczach. Ten kiwnął głową i podał mu jakieś zawiniątko.

- To są środki przeciwbólowe – wyjaśnił. – Proszę stosować je rozsądnie, pamiętaj o jej stanie. Nie są najsilniejsze, ale skuteczne. Proszę też utrzymywać z nią stały kontakt. Jedźcie ostrożnie. Wszystkiego dobrego...

- Dziękujemy, doktorze – powiedział Jack, siadając z Natalie na przedzie przyczepy. – Niech się pan trzyma i nie da tym bandytom!...

Jonathan usiadł obok Evelyn. Ruszyli.

W trakcie podróży stan Evelyn przechodził ze skrajności w skrajność. Były momenty, że, co prawda osłabiona, ale jednak przytomnie rozmawiała z Jonny'm. Ale były też godziny, gdy praktycznie odpywała. Wtedy wraz z Natalie próbowali jak mogli ocucić ją i jakoś dobudzić. Wiedzieli, że te momenty to dla niej, a przede wszystkim dla dziecka, droga tylko w jedną stronę. Noworodek natomiast, co było niewiarygodne, ale prawdziwe, najwidoczniej miał się dobrze i zamierzał wreszcie zobaczyć świat na własne oczy. Uporczywie wiercił się i kopał w brzuchu mamy, zwłaszcza w chwilach, gdy Evelyn był świadoma. Podnosiło ją to na duchu, choć osłabiała fizycznie.

Podróż, choć czasowo najkrótsza i najmniej zawiła, jaką Jonathan z Evelyn odbywali w ciągu ostatniego roku, wydawała mu się najdłuższą i najbardziej uciążliwą. Nie mógł znieść widoku cierpiącej Evelyn, a co dla niego było najgorsze – nic nie mógł zrobić, poradzić coś, by zniweczyć gehennę żony. Nie spał, bojąc się, że może stać jej się coś złego. Czuwał przy niej cały czas, ocierał spocone czoło, choć powietrze było bardzo zimne, trzymał za rękę. Nie opuszczał jej ani na sekundę.

Jack pędził przez pustkowia najszybciej jak mógł – a raczej najszybciej jak mógł jego bramini. Po dwóch dniach dotarli do terenów górzystych i siłą rzeczy musieli

zwolnić. Wtedy też stan Evelyn zaczął pogarszać się coraz bardziej. Rana w barku goiła się dość dobrze, ale do tej odnowionej w łydce ponownie zaczynało wdawać się zakażenie. Ból nie pozwalał jej tracić przytomności. Nie mdlała już na długie godziny, ale wielokrotnie wciągu tych chwil, kiedy miała świadomość, zaczynała majaczyć i dosłownie mówić od rzeczy. Jonathan tylko mocno ją przytulał i powtarzał jak w transie: „Wszystko będzie dobrze, kochanie... Zobaczysz, już niedługo wszystko będzie dobrze...”

Trzeciego dnia późnym popołudniem Jack oznajmił, że do Boneyard zostało im już nie więcej niż dwie godziny drogi. Evelyn w tym czasie zaczynała rodzić. Jonathan załamał się. Natalie przejęła jego pieczę przy żonie. Jack przyspieszył tempa.

Wreszcie dotarli do dawnego Los Angeles. Wjechali doń od północnego zachodu. Evelyn, trzymając się za brzuch, krzyczała, zaczynała odchodzić od zmysłów. Natalie krzyknęła w kierunku Jacka:

- Jedź do biblioteki!

Jack skierował bramina na południe. Po kilku chwilach dotarli przed wielki, ceglany budynek. Natalie zeskoczyła z przyczepy i wbiegła do środka. Jonathan i Jack zaczęli zdejmować Evelyn z wagonu, która płakała rzewnymi łzami. Po chwili Natalie wróciła z kilkorgiem ludzi. Rośli mężczyźni pomogli Jonny'emu i Jackowi przenieść dziewczynę do środka biblioteki. Jonathan nie widział dokąd idą. Podtrzymał głowę Evelyn i, płacząc jak ona, cały czas ją pocieszał.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia. Położyli Evelyn na starym, zniszczonym stole bilardowym. Natalie i trzy inne kobiety zajęły się Evelyn. Jack i reszta panów wyszli z pomieszczenia, Jonathan został. Natalie jednak nie pozwoliła mu być tam długo:

- Jonny, musisz wyjść – nalegała.

- Nie! Muszę być z Evelyn!... – krzyczał.

- Nie bój się, Jennifer odbierała już niejednego poród!...

- Nie, ja chcę być przy niej!...

Ale cztery kobiety skutecznie wypchnęły go na zewnątrz i zamknęły drzwi.

Przez następne minuty Jonathan wychodził z siebie. Maszerował tam i z powrotem, wpatrując się uporczywie w drzwi, jakby tylko siłą woli chciał przez nie dojrzeć, co się dzieje w środku. W końcu ukląkł pod drzwiami, ze łzami w oczach nasłuchując rozpaczliwych krzyków swojej żony. W końcu zrobiło się cicho, a po chwili jego uszu doszedł płacz nowonarodzonego dziecka. Drzwi otworzyły się, Natalie zaprosiła go do wewnątrz. Jonathan wstał i wszedł do pokoju. Mijając wychodzące kobiety, słyszał słowa: „gangrena”, „cud”, ale nie zwracał na nie uwagi. Spojrzał na Evelyn, leżącą na stole w zakrwawionych ubraniach. Drzwi ponownie się zamknęły. Byli sami.

Jonathan podszedł do Evelyn i usiadł na krawędzi stołu. Był odwrócona na bok i z czułością obejmowała malutkie zawiniątko. Spojrzała na niego i wyszeptała słabym głosem:

- Poznaj swojego syna, Jonny...

Jonathan spojrział na malutkiego chłopczyka, otulonego w jasne prześcieradło. Coś ścisnęło go w gardle, nie potrafił wypowiedzieć słowa. Był taki podobny do Evelyn...

- Wychowaj go dobrze... – powiedziała Evelyn.

- Evelyn, razem go wychowamy!... – odrzekł Jonathan ze strachem, nie chciał widzieć wyczerpanej twarzy swojej żony, ale nie miał wyjścia. – Dlaczego tak mówisz?! Dlaczego...

Evelyn tylko pokręciła głową. Jonathan przerwał, patrząc się na nią z rozpaczą.

- Wiesz... – wyszeptała. – Dokładnie rok temu to wszystko się zaczęło... Dla mnie był to najszczęśliwszy rok w moim życiu...

- Evelyn... – Jonathan chciał jej przerwać, ale łyzy ponownie ścisnęły mu gardło. Głowa Evelyn opadła jej nieco do tyłu. Jonathan podniósł ją. Ona spojrzała na niego i powiedziała:

- Przytul mnie, skarbie, jeszcze chociaż przez chwilę...

Jonathan pochylił się nad nią i pocałował ją.

- Tak bardzo cię kocham... – szepnęła z zamkniętymi oczyma. Jonathan przełknął łyzy i odrzekł:

- A ja ciebie...

Ale tego Evelyn już nie usłyszała...

Wiosna puknęła do okien śpiewem ptaków i zielenią liści na drzewach. Jonathan i Jack siedzieli przy stole w salonie. Obaj wspominali właśnie stare czasy. Czy dobre? Wierzyli, że tak, choć obaj przeżyli wiele przykrych momentów. Jonathan – śmierć żony, Jack – swego rodzaju wygnanie z rodzinnego miasta. Siedzieli w milczeniu popijając piwo, jak przed laty siedzieli w ciasnym mieszkanku w cichym Old Town w The Hub.

Do pokoju weszła pulchna, ubrana na czarno kobieta. Jonathan ocknął się z zadumy i rzekł:

- Pani Muriel, co robi Josh?

- Bawi się z małą Razor – opowiedziała pani Muriel. – Muszę ci powiedzieć, Jonny, że jej riposty są równie cięte jak jej imię...

Jonathan uśmiechnął się. Pani Muriel weszła do kuchni.

- Naprawdę bardzo ci dziękuję, Jack, że zdołałeś przywieźć tutaj mamę Evelyn – powiedział po chwili do przyjaciela.

- Żaden problem – odrzekł Jack i zmienił temat. – Więc to już będzie... sześć lat?

Jonathan kiwnął głową.

- Cholera...

Jonathan ponownie pokiwał głową. Po chwili powiedział:

- Gdzie Natalie?

- Siedzi w bibliotece – odrzekł Jack. – Już dawno nie miała okazji pogadać ze starymi znajomymi...

- Ja staram się tam być codziennie – powiedział Jonny. – Chyba, że naprawdę nie mam czasu – Jonathan wstał. – Chodź, odwiedzimy Evelyn, to przy okazji wstąpisz po swoją małżonkę.

Jack kiwnął głową i również powstał. Jonny krzyknął w kierunku kuchni, gdzie się udają i wyszli na zewnątrz. Mały chłopczyk zawzięcie tłumaczył coś nieco wyższej od niego dziewczynce. Nagle zauważył Jacka i Jonathana i podbiegł do tego drugiego. Jonathan chwycił go i unióś do góry.

- Tato, a wiesz, że Razor wypadł już zęb! I tak śmiesznie wygląda! – krzyczał mały urwis.

- Oj, Josh, nie można tak śmiać się z innych – pouczył go Jonathan. – Idź i zaraz przeproś Razor. Przyjaciół trzeba szanować.

- Dobrze – odrzekł mały Josh. – A gdzie idziecie z wujkiem Jackiem?

- Idziemy do mamy – odrzekł Jonathan. – Chcecie pójść z nami?

- Nie... Pójdziemy później... Papa!...

Jonathan i Jack udali się w kierunku północnym.

- Ależ on podobny do Evelyn – powiedział cicho Jack.

- Taak... – odrzekł Jonny. – Śliczny i zawsze uśmiechnięty jak ona.

Przez chwilę nie odzywali się do siebie.

- Więc kiedy przejmujesz tę miejscinę we władanie? – zapytał Jack.

Jonny spojrzał się na niego sceptycznie. Jack wybuchł śmiechem.

- Tak tylko żartuję!... Ale poważnie myślisz o kandydowaniu?

- Dlaczego nie? – odrzekł Jonathan. – Sporo w życiu doświadczyłem, a i tutaj ludzie mnie znają i wiedzą, że zawsze mogą liczyć na moją pomoc. Poza tym podobają im się moje pomysły.

- Ochrona?...

Jonathan kiwnął głową. Jack ponownie się uśmiechnął i rzekł:

- A niech mnie... Jonathan... nie – Jon Zimmerman, burmistrz Los Angeles. To brzmi dumnie. Poza tym zawsze dobrze jest znać taką szybę...

Obaj roześmiali się.

Po kilku minutach weszli na ogrodzony plac wypełniony drewnianymi i żeliwnymi krzyżami. Skierowali się na prawo. Ujrzeni pojedyncze, wysokie drzewo. Podeszli do niego. Jonathan zdjął czapkę z głowy. Spojrzeli na drewnianą tabliczkę, zawieszoną na wyczyszczonym krzyżu tuż obok drzewa, na której widniały słowa:

Evelyn Zimmerman

żyła lat 25

odeszła 02.03.2143 r.

„Why?... Thank you for you...”

Obaj patrzyli się w skupieniu na słowa – pełne bólu i jednocześnie prawdziwej wiary w człowieka. Jonathan nie pamiętał momentu, w którym przygotowywał i przytwierdzał tabliczkę do krzyża. Ocknął się dopiero wtedy, gdy zrozumiał jak wiele zawarło się w tych kilku prostych słowach. Teraz spoglądał na nie przywołując w myślach swoją miłość – z pięknymi czarnymi oczyma, z optymizmem na ślicznej twarzyczce, z dobrocią wpisaną w spojrzenie. Myślał o niej i powtarzał słowa, jak każdego dnia, kiedy tu przychodził: „Evelyn, tak bardzo tęsknię... tak bardzo...”